MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 26. WARSZAWA, 23 CZERWCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

O IDEI i IDEALE

SŁOWOM położonym w nagłówku dajemy treść zgodną z tem, co chciał wyrazić Słowacki o znanej powszechnie rozprawie „O potrzebie idei".

Są narody — powiada poeta — „które stoją nie pod człowiekiem, ale pod ideą narodową nad każdym człowiekiem, choćby najwyżej stojącym, ulatującą". Są inne — powiada dalej — które „chęć swoją objawiają tylko w ideale; ideał zaś ten musi koniecznie uosobić się w człowieku".

Jako przykład pierwszych przytacza Słowacki Anglję i powiada, celem wyjaśnienia swej myśli: — „Anglik, dobry zegarmistrz, czuje: iż zegarmistrzem będąc lepszym nad innych, dopomaga krajowi w celach jego ostatecznych"... Jako przykład drugich przytacza Francję — „Ideałem Francji był Napoleon" i zaraz dodaje: „Teraz ideału niema, nawet przeczucie o nim urodzić się nie może; a ktoby francuskim chciał być patrjotą, nie wie z pewnością, do której się partji rzucić... Kraj więc taki musi oczekiwać na ideał, to jest na człowieka, a tymczasem przez czas duchowego *interregnum* upada".

Polska dzisiejsza weszła w okres takiego „*interregnum*" i dlatego pytanie postawione przez Słowackiego — w służbie idei czy ideału — staje dziś, po stu latach, w całej swej rozciągłości przed nami.

Należy dziś — jak nam się zdaje — stanąć pod wezwaniem idei, która jedynie dać nam może pewny drogowskaz w naszem życiu narodowem i państwowem.

Mamy też ustalony pogląd, że nie może to być idea romantyczna, wykwitająca z uczuć tylko i entuzjazmu, lecz idea pozytywna racjonalnego służenia interesom i sprawie narodowej.

„Polska najnieszczęśliwsza, zapomniawszy o misji, którą dawniej na świecie pełniła" — cytujemy dalej Słowackiego — „zaczęła być naśladowniczką francuskich idej. We własnym zaś duchu twórczość swoją postawiła pod ideałem kolorowego ułana"... Na służbie temu ideałowi oprzeć przyszłości narodu nie sposób. Trzeba go postawić pod wezwaniem idei: „...nad ideałem hułana — nie zniszczywszy go wcale... owszem świętością go celu podnosząc — postawić trzeba w y ż s z ą i d e ę, p r a w d z i w ą m a t k ę c z y n ó w, któraby w niebo prowadząc ku celom ostatecznym, wskrzeszała pył drogi, po której stąpa — a... człowiekowi nie hołdując żadnemu... wszystkich podniesionych w kraj jeden zaprowadziła". A dalej: „Powtarzam! tak jako Anglja, która rośnie dziś każdym zegarmistrzem i każdym kredytem kupca i każdym majtkiem i każdym ministrem... a człowiekowi żadnemu nie oddaje całkowicie ducha swego, ale Idei".

Obowiązkiem naszym jest patrzeć w przyszłość, która gotuje narodowi naszemu wielkie zagadnienia i zapowiedź wielkich ofiar i wysiłków.

W przyszłość tę idąc, musimy wiedzieć dokładnie, na jakich podstawach wesprzeć się musi myśl nasza i o co zaczepić się muszą uczucia nasze. Oto dlaczego sięgnęliśmy do natchnionych wskazań poety, które i dziś, jak przed stu laty, zachowały całą swą świeżość i narzucają się umysłom naszym z nieprzepartą siłą.

Musimy się dziś uszeregować w służbie idei!

VIATOR

POŻAR CZY OŚWIATA?

(Dokończenie)

PRZEWIDYWANIA te nie są zbyt przesadne, zbyt pochopne.

Odrzuciwszy na bok dociekania teoretyczne, można przejść do obserwacji faktów konkretnych, zewnętrznych i znajdziemy tam dla tych myśli oparcie i potwierdzenie, równie stanowcze jak i przejmujące. Widzimy przecież dookoła niezaprzeczalne objawy szerzącej się szybko tej tak nazwanej uprzednio przez nas niekultury. Owszem, widzimy ją nietylko dookoła siebie, ale nawet... niejednokrotnie i w głębi nas samych, niestety. Widzimy wszędzie liczne dowody dokonywania się, dopełniania się niekultury, podobnej do wykluwającego się z jaja potwora, który przyjmuje coraz bardziej przerażające kształty. Czy na terenie polityki, czy w sztuce, czy w teatrze, czy wogóle w jakiejkolwiek dziedzinie życia społecznego, wszędzie widzimy to samo zjawisko cofania się pewnych ważnych pozycyj przed tą atakującą na wszystkich frontach niekulturą. Wiele zjawisk otaczających nas odmieniło się prędko, poprostu w oczach, w przeciągu kilku lat ostatnich. Zachwalanie „dawnych dobrych czasów" staje się, niestety, dzisiaj czemś bardzo uzasadnionem, a już nawet dzień wczorajszy nierzadko zjawia się przed naszą wyobraźnią w kolorach wyidealizowanej przeszłości. Jednak rozpaczać... może niema racji, bo wszystkiem rządzą przecież te zame wyroki, nieskończone i niezbadane, równie dobrze pchają one i nasz glob w przestrzeni i równie dobrze wpływają i na nasze serce, by uderzało, one też szerzą dzisiaj niekulturę, i zimno, które tak dzisiaj odczuwamy, z pewnością znamionuje przedświt.

Ale zadaniem naszem jest wykazać istnienie związku bezpośredniego pomiędzy niekulturą a oświatą powszechną. Otóż przejrzystem świadectwem tego kompromitującego związku, istniejącego pomiędzy oświatą i niekulturą, świadectwem ich szpetnego sczepienia, zlepienia się z sobą jest fakt gruby, niezwykle łatwo dostrzegalny i przy najbardziej powierzchownej nawet obserwacji, a mianowicie: złe pismo. Złe pismo bowiem, czyli te miljony nieprzystojnych książek i gazet brukowych, które zalewają całą ziemię dzień w dzień, są właśnie tym czynnikiem trzecim, tem ogniwem pośredniem, które łączy oświatę powszechną z nowoczesnem zepsuciem w tragiczną całość. Boć przecie ani pomyśleć nie można istnienia złego pisma bez niekultury, ani też tej powodzi, tego potopu złego pisma bez tego, żeby masy nie umiały czytać. I choć, prawdę powiedziawszy, niekultura zależy nietylko od oświaty powszechnej, ale i od wielu innych warunków nowoczesnego bytowania, to jednak faktem jest niezaprzeczalnym, że drugą stroną medalu szkoły ludowej jest wszelkiego rodzaju prasa brukowa. Znane są przecież powszechnie olbrzymie nakłady tego rodzaju gazet, luksusowy papier, bogate, kosztowne, wielobarwne ilustracje. One to właśnie docierają dosłownie do miljonów i urabiają je, modelują. A miljony przygotowane są dla nich usłużnie przez oświatę powszechną i jej szlachetnych i często bezinteresownych pracowników, którzy przypominają matkę, co miłośnie ubiera swą ukochaną córkę do ślubu, która tymczasem wpada w ręce wampira.

Wytworzył się dzisiaj poprostu przemysł drukowania książek i gazet, który się traktuje jako pospolity interes zarobkowy i spekulację. Społeczeństwo nawet widzi to, a jednak nie jest chyba dość wrażliwe i niedość mocno odczuwa, że dewiza kupiecka „nasz klijent — nasz pan", choć moralna przy handlowaniu towarami materjalnemi, staje się prawdziwą niegodziwością w zastosowaniu do produkcji gazet i książek, czyli przedmiotów, zawierających w sobie pierwiastek duchowy, przy którego tworzeniu autor ma większego pana, z którym przedewszystkiem musi się liczyć, a mniej z płacącym klijentem, a jest nim jego własne sumienie. I w rezultacie często się zdarza, że ludzie uczciwi i poważni popierają podobne gazety-przedsiębiorstwa, kupując pisma brukowe, albo nawet pisując do nich. Ponieważ zaś zawsze nalepiej popłaca schlebianie grzesznym intencjom człowieka i wyzyskiwanie jego niedoli moralnej i słabości, więc nie można się dziwić, że takie właśnie gazety-przedsiębiorstwa rozbudowane są dziś monstrualnie, zamieszkują drapacze nieba, a czerpią soki z mrocznych piwnic i kanałów miejskich. Dzisiejsze klęski życia politycznego i bolesne niezgody ułatwiają jeszcze żerowanie tym „smokom dwudziestego wieku". Tak więc dzisiaj wytworzył się specjalny typ nawet takich brukowców, które się toleruje, pomimo ich niedwuznacznie z b r o d n i c z e j a u r y, a tylko dlatego, że udają lojalność wobec istniejącego w danej chwili rządu. Wystarczy więc, że gazeta taka umieści na pierwszej stronicy kilka słów uwielbienia, skierowanych do osób wysoko postawionych, albo uroni kilka łezek i napisze parę obelg pod adresem stronnictw opozycyjnych, a już pozwala jej się drukować na dalszych stronicach, albo tuż obok naprawdę bezwstydne, niedopuszczalne rzeczy, które się drukuje grubemi czcionkami, zamieszczając przy nich objaśniające ilustracje czyli czyniąc z nich zaiste docierające do każdego półanalfabety elementarne, intrygujące czytanki, mające dostęp do miljonów polskich, stawiających pierwsze kroki na drodze czytelnictwa. Mówiąc bez osłonek, gazeta taka żyje z pornografji, a chroni się pod płaszczyk rzekomej „współpracy z rządem", cenzor zaś patrzy przez palce, bo pewnie sądzi, iż opłaci się poświęcić trochę moralności społeczeństwa na rzecz propagandy autorytetu władzy państwowej (podobnie jak się poświęca np. zdrowie moralne mas, narzucając im hazard loterji państwowej celem zasilenia skarbu). Wszakże obraz powyższy nabierze pełnych barw wówczas dopiero, gdy uwydatnimy rolę, jaką w tej spekulacji prasowej (i książkowej) odgrywa żyd. Kto wie nawet, czy udział żyda w tym procederze jest mniejszy od jego roli w handlu żywym towarem (polskim i światowym), w którym jest on, jak wiadomo, prawie monopolistą. Brak nam narazie cyfr, ale jeśli uwzględnić z jednej strony, że nawet prasa półoficjalna, a nawet oficjalna jest opanowana dziś przez żydów w bardzo wielkim procencie, a z drugiej strony fakt, że wszystkie brukowce,

prawie bez wyjątku, nietylko nie zaczepiają nigdy zagadnienia żydowskiego, ale jeszcze prowadzą systematyczną i źle skrywaną nawet agitację na rzecz „narodu wybranego”, to bez trudu zrozumiemy, jak wielką, jak pierwszorzędną, jak dominującą rolę, wszystko jedno bezpośrednią, czy pośrednią odgrywa dzisiaj w demoralizowaniu miljonów polskich za pomocą złego pisma żyd!

Patrząc na postęp tego rodzaju, nietrudno jest już dzisiaj uwolnić się od przesądów, panujących jeszcze niedawno, według których kulturę danego kraju oceniało się ilością drukowanego w nim papieru, tak jak ilością zużywanego mydła. I tak samo nietrudno jest nabrać już dziś pewnego sceptycyzmu w stosunku i do oświaty powszechnej i do całokształtu nauki i wiedzy nowoczesnej. A jeśli nawet nauka i wiedza w swojej czystej postaci, pomimo swej intelektualnej oschłości i jednostronności, nie zawiera, jak to już mówiliśmy, pierwiastka cynizmu, to w każdym razie twierdzimy z przekonaniem, że nie jest ona zdolna ani w najmniejszej mierze, z własnych skromnych zasobów dać człowiekowi moc i dzielność dla jego serca. To też i widzimy, że szkoła ludowa, wprowadzająca masy w rejony nowoczesnego myślenia i poznania, nie daje im siły obronnej przeciwko zepsuciu. I choć człowiek, po ukończeniu szkoły, potencjalnie nie jest gorszy, to jednak poznanie pisma i sposobów racjonalistycznego myślenia wraz z nie-posiadaniem immunitetu rzuca go w otchłań zepsucia. Porównywaliśmy już nauczanie bez podstaw moralnych i duchowych do wsadzania człowieka w auto bez pouczenia go o kierowaniu wozem—na tem też i widać, że ten jadący od piechura niczem nie jest gorszy... dopóki się nie rozbije.

Żeby naprawić oświatę powszechną, trzeba naprawić naukę dzisiejszą, to znaczy zorganizować ją tak, żeby zaczęła służyć jakiejś idei. Ale dokonać tego mogą tylko wielcy ludzie, mędrcy, myśliciele i prorocy. Zdaje się, że naród polski nie ma powodów uskarżać się na brak wieszczów, jeszcze przecież niedawno był Wyspiański, który się przewalił aż w dwudziesty wiek, ale dzisiaj niema akurat żadnego. Ponieważ zaś z drugiej strony kasować oświaty nie można, a śmieszne jest szerzyć rustycyzm, więc pozostaje trzecia ewentualność, a mianowicie: zabezpieczyć masy przed jej skutkami ujemnemi. Przedewszystkiem trzeba opracować drakońską ustawę przeciwko spekulacji na złem piśmie, drakońską.

Choć praca ta, naturalnie, nie jest dostateczna i ma charakter, jak się to w dzisiejszym języku mówi, pracy „negatywnej”, to mimo to jest to praca wielka i zbawcza. Gaszenie pożaru możeby też podpadło pod pojęcie pracy „negatywnej”, jest jednak czynnością konieczną. Jednak zabezpieczać masy przed złem pismem jest środkiem, jak powiedzieliśmy, niewystarczającym, bo złe pismo jest nietylko rozsadnikiem niekultury, ale i jej objawem. Złe pismo i niekultura są jednocześnie wzajemnie dla siebie i skutkiem i przyczyną, znajdują się z sobą w t. zw. związku funkcjonalnym, to znaczy złe pismo i niekultura są to zjawiska, które wzajemnie siebie warunkują i które postępują obok siebie w parze, niby dwaj pijani, co kroczą, podtrzymując siebie wzajemnie. I jednem słowem, leczenie świata przez tępienie złego pisma miałoby poczęści charakter leczenia objawowego. Jednak uwagi te są raczej pedanterją, bo powściągnięcie złego pisma jest czynnością dziś tak pilną i tak olbrzymiej wagi, że każdy, któremu chodzi o kulturę mas, może stanowczo zaangażować się do niej z całym entuzjazmem. Prorokować dzisiaj nie jest trudno i każde prawdziwe słowo zostałoby z pewnością wchłonięte przez ludzkość, jak krople deszczu przez wyschłą i spękaną od długotrwałej posuchy glebę, ale ponieważ proroka niema, więc dla nas, ludzi małych, pozostaje ta praca „negatywna”, praca oczyszczająca i przygotowująca teren pod przyszłe ziarno.

Sprawa walki ze złem pismem musi przedewszystkiem interesować ludzi pracujących na polu oświaty. Boć to oni przecież są tymi szlachetnymi „niewinnymi winowajcami” szerzenia się złego pisma. Niechże więc i ministerstwo oświecenia i zasłużona Macież Szkolna i wszyscy przyczyniający się do przekazywania ludowi znajomości pisma zajmą się pracą niszczenia złego pisma. Bo uczyć lud czytać, a nie powściągać jednocześnie spekulacji drukarskiej różnych żydów i nie-żydów, to jest raczej czynić pożar, a nie oświatę. Sprawa ta jest tak doniosła i tak jasna, jasna jak pożar, że naprawdę dziwne jest, iż tak mało ludzie zajmują się nią, gdy tymczasem tyle pracy, wysiłków, entuzjazmu, inwencji poświęca się dla różnych zagadnień z dziedziny pedagogiki, dla obmyślenia programów szkolnych, na dyskusje nad wartością tego czy innego podręcznika. Dziwi nas, że można mieć taką dobrą wiarę w ważność tych szczegółów, wówczas gdy potop złego, bluźnierczego pisma, co zalewa ziemię — ziemię polską, ziemię poświęconą, ziemię wyjątkową bodaj, unikat na globie, ziemię, której to piętno nowoczesności nie przeżarło jeszcze tak ostatecznie, i na której kapliczki przydrożne nie zostały jeszcze tak ostatecznie wyparte przez pompy stacyj benzynowych,—spełnia rolę *sui generis* szatana. Dotkliwym przykładem takiej dobrej wiary w znaczenie nieistotnych szczegółów jest np. t. zw. „ustawa bibljoteczna”, skonstruowana przed paru miesiącami przez b. premjera p. Janusza Jędrzejewicza, który nie pożałował ani swego czasu, ani zapału, ani nie pożałuje w przyszłości dla jej przeprowadzania chłopskich wdowich groszy. Ustawa ta była już w swoim czasie objektem polemiki prasowej i nie wydaje się nam dziełem tak doniosłem, by wymagała jeszcze dodatkowego omówienia, a wspominamy o niej tu dlatego tylko, żeby z zadziwieniem zapytać: dlaczego to ludzie pracują tak bezinteresownie, tak serdecznie, choć dość swoiście dla dobra kultury narodu, a nie zajmą się gaszeniem tej kultury pożaru? Bo naprawdę ten, co głowi się dziś nad ustawą bibljoteczną, albo nad takim, czy innym szczegółem mało istotnym, a nie widzi katastrofy od szerzenia się złego pisma, jest bezwątpienia podobny do takiego człowieka, co zapala latarnię wiszącą u wrót domu, a nie widzi, że dom cały objęty już jest jasnym płomieniem pożaru.

Sądzimy więc, że przedewszystkiem ci, co działają na polu oświaty, powinni zająć się tępieniem złego pisma. Oni czynią ogień dla światła, mają z tym ogniem do czynienia, niechże więc i gaszą pożar. To jest ich „resort”.

Każdy dzień zwłoki przynosi nieobliczalne straty i niszczy najzacniejszy czynnik składowy narodu, tę najzacniejszą instytucję na świecie —

instytucję człowieka prostego. Instytucja ta zacniejsza jest nawet od tego, co się rozumie Naród w wielkiem znaczeniu tego słowa, czyli od tej całej konstrukcji i majestatu, choć jedno bez drugiego istnieć nie może. (Ośmielamy się to napisać, bo piszemy w piśmie narodowem i mamy nadzieję, że słowa te nie spowodują zgorszenia). Instytucja człowieka prostego jest zacniejsza od wszystkiego, co tylko jest na ziemi, bo, jak już mówiliśmy, w chwilach zwrotnych, w chwilach najważniejszych świata, której, kto wie, może i dzisiaj, dzisiaj, — w sobotę, dwudziestego drugiego czerwca, roku tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego spodziewać się należy, do roli najdonioślejszej nie powołuje się, jak już wiemy z doświadczenia, ani szlachcica, ani pana, ani uczonego, ani ministra,—ale prostaka, prymityw ludzki, pospolitego rybaka Piotra, człowieka nieokrzesanego, bez ozdób i dodatków, owszem prostaka-chama, tchórza, który wcale honoru nie ma i zapiera się bezwstydnie i boi się, drży o swoją skórę, boi się jeszcze po tem nawet, gdy tyle już oglądał cudów i niezwykłości, tyle — żeby przecież nie zmieściło się to w oczodole innego człowieka.

LEON MACIAŃSKI

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

SPRAWY MORSKIE ZA ZYGMUNTA III

(Ciąg dalszy)

TYMCZASEM tron szwedzki po Karolu Sudermańskim objął jego syn Gustaw II-gi Adolf (1611 — 1634 r.), w przyszłości jeden z najwybitniejszych wojowników XVII-go stulecia. I on miał wielkie plany mocarstwowe, nie gorsze od zamierzeń Zygmunta Augusta. W planach tych decydującą rolę grał Bałtyk. Gustaw Adolf chciał nietylko zbliżyć się do Europy Zachodniej, lecz i być w niej jednym z głównych czynników. Drogę do Europy Zachodniej widział on tylko na Bałtyku. Wobec tego postanowił monarcha szwedzki opanować całkowicie wschodnie wybrzeża tego morza (zachodnie były od wieków skandynawskie), a potem zakończyć stary spór szwedzko - duński, sięgający czasów Unji Kalmarskiej. Na pierwszy ogień miała pójść Polska ze swojem wybrzeżem inflanckiem i pomorskiem potem cesarstwo niemieckie z księstwami nadodrzańskiemi, a wreszcie Danja, władająca południowym cyplem półwyspu Skandynawskiego, t. zw. Skanją, i cieśninami, wiodącemi z Atlantyku na Bałtyk.

Druga wojna polsko-szwedzka (1617—1629 r.) rozpoczęła się dość niespodziewanie. Desant szwedzki, przewieziony na 18 okrętach, opanował znienacka wszystkie główniejsze porty inflanckie, jak Windawę, Diament (niem. Dünamünde) i Parnawę, zaledwie Ryga nie dała się ubiec. Garnizony polskie były słabe i nieliczne, dopiero hetman Krzysztof książę Radziwiłł zdołał jako tako poprawić sytuację i zawrzeć rozejm na dwa lata za zwrotem zajętych przez armję szwedzką zamków, oprócz Parnawy. Był to tylko rozejm, więc należało spodziewać się niechybnego rozpoczęcia po tym rozejmie kroków nieprzyjacielskich. Było jasne, że król szwedzki uderzy znów na Inflanty, a potem spróbuje szczęścia w Prusach. Zagadnienie obrony morskiej wystąpiło w całej pełni. Atoli Rzeczpospolita, uwikłana przez króla w wojny na trzy fronty: moskiewski, turecki i szwedzki, nie mogła literalnie nadążyć przygotowaniom wojennym. Zygmunt III największą ufność pokładał w cesarzu niemieckim, że zdoła przy jego pomocy utworzyć wielki sojusz państw katolickich z cesarzem, Hiszpanją i Polską na czele i że ten sojusz da mu eskadry hiszpańskie do odwojowania Szwecji. Zajęty temi planami i chcąc przygotować więcej wybrzeża pod owe floty sprzymierzone, zainteresował się król sprawą pruską.

Dogorywał właśnie w Królewcu obłąkany książę Albrecht Fryderyk Hohenzollern, a jego brat stryjeczny i regent, margrabia brandenburski Jerzy Fryderyk dobiegał ósmego krzyżyka i nie miał potomka. Na spadkowe lenno patrzyli się łakomie Hohenzollernowie berlińscy, krewni królewieckich, tembardziej, że Zygmunt August dał im w 1563 r. obietnicę, iż, w razie wygaśnięcia linji królewieckiej, otrzyma lenno linja berlińska. Rzeczpospolita tej obietnicy nie zatwierdziła i opinja ogólna bez wyjątku była za przyłączeniem Prus Książęcych do Polski. Szczególniej za tem była ludność Prus Książęcych, zachęcona ulgami i dobrobytem, jakim się cieszyli mieszkańcy Prus Królewskich. Zygmunt III był również za przyłączeniem, lecz je modyfikował, pragnął on mianowicie utrzymać lenno, oddając Prusy Książęce któremu ze swoich synów i ubezpieczając przez to koronę polską w rodzinie Wazów. Z temi zamiarami nie dawał on się, według swego zwyczaju, słyszeć, tymczasem w 1618 r. umarł książę Albrecht Fryderyk, a z pretensjami o lenno wystąpił elektor brandenburski Jan Zygmunt. Oczywiście, pretensje jego były odrzucone, bo i król i społeczeństwo szli zgodnie w sprawie przyłączenia, lecz tu wystąpił na scenę Gustaw Adolf, starając się o rękę elektorówny Eleonory, córki Jana Zygmunta. Małżeństwo to wiązało silnie dwór berliński z dworem sztokholmskim, więc i cesarz niemiecki, przeczuwający wtrącenie się Szwedów do spraw cesarstwa, w którem toczyła się krwawa Wojna Trzydziestoletnia, i król Zygmunt, obawiający się dywersji brandenburskiej od zachodniej granicy, chcieli zrównoważyć skutki projektowanego małżeństwa. Jako rekompensata zostało przyznane elektorowi brandenburskiemu lenno w Prusach Książęcych i w 1621 r. syn Jana Zygmunta, elektor brandenburski Jerzy Wilhelm objął w posiadanie w Prusy Książęce jako hołdownik polski. Obecnie więc po obu stronach Pomorza nadwiślańskiego siedział jeden władca, spozierający z niechęcią na rozdzielający jego posiadłości „korytarz".

Rozejm dwuletni między Polską a Szwecją upłynął szybko. Załatała się jakoś zgoda na moskiew-

skim froncie, gdzie Polska straciła świetną okazję do osadzenia swego królewicza na carskim tronie, a wybuchła natomiast z całą zaciekłością wojna z Turkami, znaczona klęską pod Cecorą (1620 r.) i zwycięstwem pod Chocimem (1621 r.). Polska była wyczerpana docna uporczywemi walkami, więc też Gustaw Adolf mógł uderzyć śmiało. Zebrał on 24000 ludzi w mieście Elfsnaben i skoncentrował 150 okrętów w Sandhamm. Stamtąd nastąpił wymarsz armji do Inflant pod Rygę. Ten najważniejszy port inflancki, odpowiadający Gdańskowi na polskim północnym odcinku morskim, poddał się po paromiesięcznem oblężeniu i armja szwedzka rozlała się po całych Inflantach, a potem wkroczyła do Kurlandji. Hetman Krzysztof Radziwiłł z paroma tysiącami ludzi zasłaniał, jak mógł, dostęp na Litwę, ale widać było, że Gustawa Adolfa zajmuje teraz druga kampanja, skierowana przeciwko Prusom Książęcym i Królewskim.

W Polsce podniósł się alarm, wszak szło nie o dalekie brzegi inflanckie, lecz o źrenicę oka, ziemię pomorską. Okrzyk o budowie floty rozległ się w całym kraju. Król Zygmunt III wezwał inżyniera angielskiego Jakóba Murray'a i polecił mu w 1622 r. przystąpić co tchu do budowy marynarki wojennej. Srodki miały iść z prywatnej szkatuły królewskiej, a budowę miano prowadzić w Gdańsku. Gdańszczanie patrzyli się na zabiegi morskie dość niechętnem okiem, obawiając się, że po ukończeniu wojny ze Szwedami marynarka wojenna Rzeczypospolitej zostanie na stałe na Bałtyku i będzie jednem z wędzideł, nałożonych na Gdańsk. O zamiarach Zygmuntowych przewiedział się i Gustaw Adolf, który osobiście na czele eskadry z 20 jednostek zjawił się przed Gdańskiem w lipcu 1623 r. i zwrócił się do rady miejskiej z żądaniem zachowania przez Gdańsk neutralności i wzbronienia postoju w nim polskiej flocie. Miasto, mając w swych murach króla Zygmunta z królową Konstancją i królewiczem Władysławem, a pod murami ściągające zwolna pułki polskie, odpowiedziało, jak zwykle, wymijająco. Z jednej strony pochlebiało mu traktowanie go przez Gustawa Adolfa jako niezależnego wolnego miasta, a z drugiej poprostu obawiało się wojsk polskich. Swoją drogą król Zygmunt, wiedząc o sabotażach gdańskich za jego wuja, polecił prowadzić dalej budowę okrętów w Pucku, gdzie czuł się bardziej swobodny i mógł roztoczyć większą kontrolę.

Szwedzi przez ten czas nie próżnowali: w Inflantach zostało zawarte wojskowe zawieszenie broni, na które musiał się zgodzić głównodowodzący siłami polskiemi hetman Krzysztof książę Radziwiłł, nie mając odpowiednich sił nietylko do działań zaczepnych, lecz nawet i obronnych i zabezpieczenia dostępu na Litwę. Zawieszenie to obowiązywało do 1626 r., Gustaw Adolf rozpuścił wieści, że, o ile dojdzie do akcji wojennej, to nastąpi wznowienie kampanji w Inflantach. Wieściom tym, niestety, uwierzono zbyt pochopnie w Warszawie i wojska polskie rozpoczęły marsz do Radziwiłła, a do Prus Królewskich wysłano jedynie 3000 piechoty, która objęła garnizony w tamtejszych twierdzach, jak Puck, Malborg, Grudziądz i Toruń. Król Zygmunt polegał również na armji swego nowego lennika, księcia Jerzego Wilhelma. Pozatem ogół szlachecki oraz tracące coraz bardziej na znaczeniu miasta chętniej wierzyły wiadomościom o wszczęciu kampanji w Inflantach, aniżeli przypuszczeniom o możliwościach wojny w Prusach.

Tymczasem w lipcu 1626 r. eskadra szwedzka w składzie 80 okrętów wojennych odeskortowała flotylę transportową, złożoną ze 120 statków, które miały na pokładzie 15.000 desantu. Gustaw Adolf wylądował bez najmniejszych przeszkód w Piławie, gdzie Jerzy Wilhelm dopuścił się pierwszej zdrady, poczem armja szwedzka zajęła szybko całe Prusy Książęce i podeszła do linji dolnej Wisły. Tczew i Malborg kapitulowały i droga do Prus Królewskich stanęła otworem. Jednocześnie flota szwedzka zablokowała Gdańsk, a wysadzony przez nią desant zagarnął Puck, skąd zaledwie zdążono przeprowadzić sześć nawpół gotowych okrętów polskich do Gdańska. W ciągu lipca Rzeczpospolita została odcięta od Bałtyku.

Król Zygmunt III zebrał czemprędzej oddziały gwardji i w sierpniu stanął na ziemi pomorskiej, posuwając się wzdłuż biegu Wisły celem przeszkodzenia przeprawie Szwedów na lewy brzeg rzeki. Jednocześnie forsownym marszem szedł z Ukrainy hetman Stanisław Koniecpolski, wiodąc wszystkie oddziały regularne wojsk kwarcianych. Atoli król Zygmunt nie doczekał się nadejścia Koniecpolskiego i wydał Szwedom, którzy już przekroczyli dolną Wisłę pod Tczewem, bitwę w okolicach Gniewa i poniósł dotkliwą porażkę, która zmusiła go do cofnięcia się na południe.

W listopadzie nadszedł korpus Koniecpolskiego. Hetman był zdania, że należy rozpocząć działania zaczepne i conajrychlej oswobodzić wybrzeże morskie, albowiem knebel szwedzki cisnął coraz dotkliwiej cały ogół, pozbawiony odrazu naturalnego przywozu i wywozu zagranicznego. Koniecpolski twierdził, że trzeba działać równocześnie na lądzie i na morzu i przeforsował na królu energiczniejszą działalność w dziedzinie organizacji floty, formowanej wyłącznie sumptem Zygmunta.

(Dok. nast.) WITOLD HUBERT

PROCES BERNEŃSKI

MOŻE czytelnicy przypominają sobie, że w grudniu roku zeszłego w Bernie szwajcarskiem rozpoczął się proces o wydanie t. zw. „Protokułów Mędrców Syjonu". Ponieważ „Myśl Narodowa" wtrąciła się do tego procesu, drukując moją rozprawkę p. t. „Odcisk dłoni" („M. Nar." numery 51, 52, i 53 z roku 1934), więc poczuwam się do obowiązku na tem samem miejscu powiadomić czytelników o zakończeniu procesu w pierwszej instancji. Pomimo, że wyrok zapadł w połowie maja, musiałem z powiadomieniem zaczekać aż do otrzymania wiadomości bliższych i wiarogodnych, prasa polska bowiem zależna jest od agencyj telegraficznych i prasowych, które pozostają pod wpływami żydów. Obecnie otrzymałem biuletyn erfurckiego „*Welt-Dienst*" z dnia 1 czerw-

ca z ogólnym opisem procesu i z powtórzeniem wyroku. Przytaczam niektóre stamtąd co ciekawsze wyjątki (ujęte w cudzysłowy):

Wyrok: „a) Oskarżony Haller — od winy zwolniony, a od strony skarżącej tytułem odszkodowania otrzymuje franków 400.

b) Oskarżony Aebersold — od winy zwolniony, a od strony skarżącej tytułem odszkodowania otrzymuje fr. 200.

c) Oskarżony Meyer — od winy zwolniony, a od strony skarżącej tytułem odszkodowania otrzymuje fr. 100.

d) Oskarżony o sprzedaż wydanych przez Fritscha „Protokułów" Silvio Schnell z powodu wykroczenia przeciw § 14 berneńskiego prawa o odbitkach (fotografjach) — skazany na 20 franków grzywny i pokrycie kosztów sądowych w wysokości $^5/_{18}$ części.

e) Oskarżony Teodor Fritsch za dołączoną do „Protokułów" ulotkę — skazany na 50 franków grzywny i również na pokrycie części kosztów sądowych.

f) Broszura wydawnictwa „Hammer" p. t. „Protokuły Mędrców Syjonu" — zwolniona od zajęcia i konfiskaty, ze wszystkich bowiem sprzedających ją księgarzy jedynie Silvio Schnell był postawiony w stan oskarżenia.

Od wyroku tego zastępca Schnella adwokat Ruef wniósł odwołanie".

W podanym całkowicie przez „*Welt-Dienst*" wyroku zastanawia przedewszystkiem ten fakt główny, że „Protokuły Mędrców Syjonu" zostały przez sąd milcząco uznane za prawdziwe, a już conajmniej zarzut ich sfałszowania sąd uznał (również milcząco) za nieudowodniony.

Paragraf 14 prawa berneńskiego zastosował sąd do Schnella i Fritscha tylko za dołączone do „Protokułów" — fotografję i ulotkę ze słowami, które Fritsch napisał od siebie. Słowa Fritscha, do trzynastego wydania „Protokułów" dodane, a przez dany wyrok sądowy potępione, brzmią, jak następuje:

„Nie możemy dłużej cierpieć pośród nas żydostwa. Jest obowiązkiem honoru narodów cywilizowanych usunąć to plemię parszywe, sama bowiem obecność jego zapowietrza wszystko... Hebrajczyk jest przyrodzonym fałszerzem, szpiegiem i zdrajcą: jest wiecznym Judaszem ludzkości".

A „*Welt-Dienst*" dodaje: „Poprzez furtkę tych słów Fritscha żydostwo zamierzało zadać cios samym „Protokułom". Ważną dla żydów okolicznością było również to, że wyrok miał być wydany nie przez trybunał, ale przez sędziego pojedyńczego. A sędziowie szwajcarscy obierani są na okres lat czterech. W danym wypadku sędzią był marksista Meyer, wybrany przez socjal-demokratów. Z początku oskarżenie wniesiono tylko przeciw owym słowom Fritscha i dopiero po roku udało się żydostwu wkręcić tu trudną sprawę autentyczności „Protokułów". Tym sposobem proces o znaczeniu miejscowem stał się sprawą o rozgłosie światowym".

W innem miejscu sprawozdania „*Welt-Dienst*" powiada, że „socjal-demokratyczne pismo „*Bernen Tagwacht*" nazywa sędziego Meyera „towarzysz sędzia Meyer", zaś sam ów sędzia przy uzasadnianiu wyroku powiedział, że wydaje wyrok jako człowiek, polityk i sędzia".

Widzimy stąd, że socjaliści wszystkich krajów łączą się w zieloności swojego myślenia: wyrok wydany przez polityka musi być podejrzany o stronność, wydany zaś przez t. zw. człowieka musi być podejrzany o brak rzeczowości, jakże więc można oba wyroki włączać do wyroku sędziego? Pomimo to i pomimo złośliwych przeszkód, jakich stronie oskarżonej ów Meyer nie szczędził, wyrok sądu stał się w gruncie rzeczy przegraną żydostwa.

A jak tę przegranę przyjęła prasa żydowska, w Polsce wychodząca? Przyjęła ją z okrzykiem zwycięstwa i radości, fałszując rzecz od początku do końca. Mamy w tem jeszcze jeden dowód, jak znakomicie zgraną w sobie szajką oszustów jest naród żydowski. W zakresie fałszerstwa i oszustwa umie on, istotnie, dokonywać czynów wręcz nieprawdopodobnych. A zważmy nieprzewidzianą i bardzo niepomyślną dla tak radosnego nastroju okoliczność, która w tym samym czasie nastąpiła, mianowicie — zgon Marszałka Piłsudskiego, co żydostwo całego świata przyjęło z oznakami najgłębszego żalu, smutku i żałoby narodowej. Rozdzierali żydzi szaty, nakładali wory, popiół na głowy sobie sypali, jak po zgonie własnego króla dawidowego, a jednocześnie tańczyli i na cymbałach wygrywali radość swoją z powodu wymyślonej wygranej procesu berneńskiego. Jedno drugiemu w nich nie przeszkadzało.

Ale rzecz to wysoce znamienna, że oszustwo swoje o procesie berneńskim żydzi narzucili także prasie polskiej. Wymownie to świadczy, do jakiego stopnia opinja społeczeństwa polskiego zależna jest od woli żydostwa, trzymającego w rękach swoich przewodniki telegrafji, radja, prasy i różnych agencyj. W tych warunkach, o ile dziennik polski nie posiada własnych wszędzie korespondentów, musi korzystać z odpowiedniej prasy zagranicznej, czego z przyrodzonego sobie lenistwa zazwyczaj nie czyni. A że na własne korespondencje prasę uczciwie polską nie stać, więc gdy chce samodzielność swoją w jakiej sprawie podejrzanej utrzymać, musi utrzymywać ją za pomocą... milczenia. Tak właśnie stało się z wyrokiem w procesie berneńskim. Z początku procesu było w prasie polskiej pełno o nim wiadomości, potem — coraz mniej, a przy końcu i po wyroku — dyplomatyczne milczenie.

Pomijam tu opisy szykan, przeszkód i stronniczości, na jakie strona aryjska procesu była przez owego „człowieka, polityka i sędziego" narażona. Pomijam również niedokładności i wykroczenia przeciw regulaminowi sądowemu, jakich dopuszczał się sekretarjat sądu w ciągu owego procesu. Kto ciekaw, znajdzie te szczegóły w biuletynie „*Welt-Dienst*" po niemiecku, a „*Service-Mondial*" po francusku z dnia 1 czerwca. Zanotuję tylko fakt, że „rzeczoznawca strony żydowskiej Baumgarten dowodzenia swoje o fałszywości „Protokułów" oparł na zeznaniach trzykrotnie skazanej za oszustwo „księżnej" Radziwiłłowej. Bezpodstawność twierdzeń „księżnej" zbił przed laty Alfred Rosenberg".

W tem miejscu sprawozdania biuletynu „*Welt-Dienst*" czytelnik polski niewątpliwie przypomni sobie wiadomość, która niedawno, bo w początkach kwietnia, obiegła niektóre pisma polskie obozu narodowego. Przytaczam wiadomość tę z „Kurjera Poznańskiego" z dnia 7 kwietnia 1935 r. p. t. „Skandal":

„Z Warszawy donoszą, że w mieście tem księżna Magdalena Radziwiłłowa ufundowała dwie szkoły żydowskie. Mieszczą się one na ul. Podchorążych 20. Jedna, siedmiooddziałowa, przeznaczona jest dla chłopców, druga, sześciooddziałowa — dla dziewcząt. Razem pomieszczą 800 żydowskich dzieci.

I to wtedy, gdy naszym dzieciom brak szkół, gdy każdy biedak, odmawiający sobie nieraz kęsa chleba, by kupić podręcznik szkolny dla swego dziecka, dopłaca na budowę szkół powszechnych. O tym fakcie podarowania warszawskiemu kahałowi przez Magdalenę Radziwiłłową dwóch szkół na 800 dzieci, społeczeństwo polskie nie zapomni".

Można wątpić, czy społeczeństwo polskie ma pamięć tak sprawną. Umie ono o gorszych sprawach zapominać doszczętnie, byle zagrano mu na jakiej strunie sentymentalnej... Ale dla samej ciekawości warto byłoby sprawdzić w jakim almanachu, czy obie wspomniane tu księżne Radziwiłłowe są jedną i tą samą osobą. *„Welt-Dienst"* nie przytacza, niestety, imienia księżnej, wspomnianej na procesie berneńskim, a sam tytuł jej—„księżna"— opatruje cudzysłowem. Niewiadomo, jakie ten cudzysłów względy Niemcom podyktowały.

Jak w każdej sprawie z uczestnictwem żydów, tak i w tym procesie lepko i duszno od rozmaitych sprawek i osób podejrzanych. A szczególny niesmak budzą fałszywi lub stronni „świadkowie" przez żydostwo postawieni, oraz jego „rzeczoznawcy". Jak to w grudniu roku zeszłego, w rozprawce p. t. „Odcisk dłoni" przewidywałem, tak się też z owymi świadkami i rzeczoznawcami na procesie stało. I jedni i drudzy byli rzecznikami stron, a że sędzia „towarzysz" Meyer, jako polityk, opowiadał się stale po stronie żydowskiej (bo socjal-demokrata inaczej czynić nie ma prawa), więc też gnębił i krzywdził stronę aryjską z całym spokojem „człowieczego" sumienia swojego. Pomimo to jednak nie miał możności wydania wyroku o fałszywości „Protokułów", a tem samem uznał, że każdy ma prawo głosić ich autentyczność i bez żadnych je przeszkód rozpowszechniać.

Tym sposobem w procesie berneńskim żydostwo międzynarodowe sprawę swoich „Protokułów" przegrało tem sromotniej, im obrzydliwsze do nich epitety stosowało.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

P. S. W ostatniej chwili otrzymałem z Erfurtu książkę o kilkuset stronicach p. t. *„Gerichts - Gutachten zum Prozess vom Ulrich Fleischhauer"*. Książka ta, wydana w Erfurcie, zawiera uzasadnienie rzeczoznawcy strony aryjskiej podpułkownika Fleischhauera, dotyczące prawdziwości „Protokułów". Sprawozdanie o niej podam tu w czasie najbliższym. S. P.

JERZY SAMUEL BANDTKIE

(1768 — 1835, W SETNĄ ROCZNICĘ ZGONU)

Dnia 11 czerwca bieżącego roku upływa sto lat od śmierci pierwszego polskiego historyka kultury, bibljotekarza i profesora wszechnicy jagiellońskiej, Jerzego Samuela Bandtkiego. Wielka postać Lelewela przesłoniła trochę Bandtkiego i ten wybitny uczony jest dzięki temu niedoceniony i zapomniany, a tymczasem parę jego prac dotychczas jest niezastąpionych, jego uczniowie to wielkie w nauce nazwiska (Helcel, Maciejowski), a i sam Lelewel nie byłby takim olbrzymem, gdyby mu w szeregu dziedzin drogi nie torował Bandtkie. Ostatecznie bez „Historji drukarń" nie byłoby „Ksiąg Bibljograficznych", a i w prehistorji Bandtkie oddał Lelewelowi niepoślednie usługi.

Urodził się Bandtkie w Lublinie 24 listopada 1768 roku, w półniemieckiej, luterańskiej rodzinie; ojcem jego był Jan Samuel, który tu przybył z Szlichtyngowej pod Wschową — matką Anna z Noaków. Środowisko to dość typowe dla tych czasów, bo to są te właśnie szczyty mieszczańskie, które teraz istotnie się polonizują (sam Bandtkie z naciskiem nazywa siebie „rodowitym Polakiem") i z powodzeniemusiłują wejść w szlachtę. Wprawdzie Bandtkowie — w osobie Jana Wincentego, brata Jerzego — późno, bo w roku 1819 dostali szlachectwo, tem niemniej jednak dopięli swego. Ta nobilitacja była konieczna jako wyraźne stwierdzenie polskości i ostateczne połączenie się z przybraną ojczyzną i wiejsko-szlacheckim duchem jej dziejów. Zresztą, niezależnie od aktów i patentów, umykano wtedy z miasta; zerwała też z niem w sensie mieszczańskości i rodzina Bandtków już wcześniej, skoro z synów Jana Samuela: Jerzy i Jan Wincenty byli uczonymi, a z córek — dwie poszły za ziemian, a jedna za urzędnika.

Jak i środowisko, w którem się obracał — półniemieckie i chcące z miasta uciec, tak niemniej typowe dla tych przełomowych czasów są jego losy, które wciąż kręcą się pomiędzy Polską a Niemcami. Śląsk gra tu rolę łącznika; zdumiewa wprost, jak silne węzły łączyły tę dawną, piastowską dzielnicę z Polską, do której już od czterech zgórą wieków nie należała. Wrocław, w którym kształci się Bandtkie, jest dziwnie bliski Lublina, — węzły krwi łączą oba te miasta. Sam Bandtkie ma tam stryja, a inne nazwiska też się powtarzają. Księgarz Korn, u którego drukować będzie w przyszłości swoje prace, ma krewnych w Lublinie, a nawet i wieś podwrocławska w tem uczestniczy, skoro szwagier Bandtkiego, Karol Fritsch, właściciel Jeriszowa i Schoebekirchu, ma najbliższą rodzinę znowu w Lublinie. Słowem jest to cały przejściowy świat pomiędzy Polską a Niemcami, między szlachtą a mieszczaństwem, między cywilizacją honoru a uczciwości. — Widać, że to epoka wytwarzania się nowych warstw i nowych nacjonalizmów. Biografje wielkich ludzi tych czasów szczególnie są tu pouczające, — jakżeż podobne, mimo całej ich różności, są np. stosunki rodzinne Lelewela. Wszędzie jest jedno zasadnicze — miasto i wieś zbliżają się do siebie.

Wracając do Bandtkiego, to od roku 1779 — siedział on na Śląsku; kończył tu wrocławskie gimnazjum św. Elżbiety i dostał w roku 1787 świadectwo *maturitatis*. Dzięki stryjowi, mimo bankructwa ojca, mógł udać się na uniwersytet do Halli. Nie zapomniał mu bratanek tego i w swojej, złożonej Uniwersytetowi Jagiellońskiemu autobiografji zaznaczył, że „stryj był mi drugim ojcem, nietylko mnie bowiem utrzymywał osiem lat w Wrocławiu, ale dał mi na akademję 300 talarów

i nie żądał odemnie nic za to, lecz tylko żebym innym za to wywdzięczał się uczniom nauki potrzebującym".

Stryj życzyłby sobie widzieć w nim pastora, sam Bandtkie natomiast wolał historję i filologję; — rezultatem tego było, że przyszły uczony, zabawiwszy dwa lata w Halli i jeszcze rok w Jenie, wrócił do domu nawet bez doktoratu. Ponieważ trzeba było zarabiać, został pedagogiem, zrazu u pastora Nürnbergera pod Wrocławiem, później u Ożarowskich, głównie w Brzozie, ale także w Warszawie, Dreźnie, nawet w Petersburgu, gdzie pobyt dla towarzystwa uczonych najwięcej sobie chwalił. W roku 1798 pożegnał się z Ożarowskimi i znowu wrócił do Wrocławia, do gimnazjum św. Elżbiety, ale już w charakterze nauczyciela. Dorabiał sobie do pensji będąc urzędowym tłumaczem polskiego w magistracie, — widać to wtedy we Wrocławiu było potrzebne, zresztą cały Śląsk był właściwie jeszcze „*wasser* polski". Niedarmo „Dykcyonarz nowy jeografii", wydany przez Korna we Wrocławiu w 1823 roku — stwierdza, że „znayduie się tutay wiele Polaków" i że „język szląsko-polski zaczyna się o dwie mile od Wrocławia, przeto na ulicach tego miasta zdarza się go tutay często słyszeć" (t. II, s. 523).

W roku 1804 został rektorem szkoły św. Ducha i bibljotekarzem u św. Bernarda. To zajęcie bardziej mu odpowiadało niż belferka, do której nie był stworzony, nie umiejąc uczyć, a tylko wykładać, — właściwe swoje zdolności mógł rozwinąć dopiero na katedrze uniwersyteckiej lub pisząc. We Wrocławiu pozostawało mu tylko to ostatnie, do czego zabrał się gorliwie.

Jeszcze przed swojem rektorstwem brał udział w wizytacji szkół okręgu warszawskiego, przeprowadzonej wtedy przez Gedickego. Złożył podówczas władzom odpowiedni memorjał, który przyczynił się do zelżenia nacisku germanizacyjnego i do ocalenia szkolnictwa Pijarów, których Bandtkie całe życie, w przeciwieństwie do Jezuitów, był wielkim zwolennikiem.

We Wrocławiu był Bandtkie aż do sierpnia 1811 roku, kiedy to przeszedł do Krakowa, gdzie został już do końca życia, mimo różnych innych propozycyj. Był tu bibljotekarzem i pierwszym w Polsce profesorem bibljografji. Wykładał jednak znacznie więcej, bo jeszcze językoznawstwo słowiańskie i numizmatykę. Uczniom swoim ułatwiał pracę jak mógł, douczając ich nawet, gdy trzeba było, łaciny. Dla zdolniejszych prowadził specjalne seminarjum i na nie właśnie uczęszczali Maciejowski i Helcel. Godność dziekana wydziału filozoficzno-literackiego piastował trzykrotnie, a w r. 1820 wybrał go uniwersytet na senatora Rzeczypospolitej krakowskiej. Politykiem jednak nie był i słusznie Bentkowski pisze do niego w liście z 13 stycznia 1821: „Z gazet nie widzę, ażebyś na sejmie jako jaśnie wielmożny senator odzywał się i krzyczał, i łajał, i ganił, i projektował, jak to zazwyczaj na sejmach bywa". — Nic dziwnego, bo Bandtkie był zdania, „że zawsze z towarzystwami, z wielą głowami trudna sprawa, a od tego uciekam jak i gdzie mogę". Zresztą nie miał na to czasu, bo jak pisał do Załuskiego, 11 grudnia 1818 r.: „mnie jedna praca po drugiej tłoczy tak, że ledwie oddycham".

Pracował rzeczywiście bardzo dużo i dokonane przez siebie uporządkowanie bibljoteki jagiellońskiej słusznie przyrównywał do oczyszczenia stajni Augjasza. Pisał wiele i odpoczywał tylko na wakacjach, spędzanych zwykle na Śląsku. Z Krakowa dalej nie wyjeżdżał nigdzie, raz tylko odbył wielką podróż do Niemiec w r. 1824, bo szczegół charakterystyczny, że ten „rdzenny Polak" ma siostrę, damę dworu *ex*-królowej westfalskiej Katarzyny. Drugi raz zmusiła go choroba udać się do Karlsbadu w 1834 roku. Zmarł w Krakowie 11 czerwca 1835 r., w wieku lat 67 niespełna.

Takie było życie tego człowieka — a jego dzieło? Oto jak je charakteryzuje Ossoliński, kładąc niby tę charakterystykę w usta Bandtkiego: „Oto wszystkie moje pisma: w domu, zagranicą nigdym ojczyzny mojej z celu nie spuścił; wciąż pracowałem na jej użytek, na wyjaśnienie jej dziejów, na rozszerzenie jej nauk, na obeznanie obcych z jej zaszczytami, na odkrycie źródeł pewniejszych o niej wiadomości".

A pism tych jest bardzo dużo, szereg bezimiennych, szereg jeszcze niewydanych. Skala zainteresowań ogromna — gruntowność tego polihistora zdumiewająca. Dobrze o nim powiedziano, że w badaniach „łączył polską odwagę z niemiecką wytrwałością". Całość tej jego gigantycznej pracy najlepiej ocenić, widząc w niej stworzenie historji kultury polskiej. Tej historji był Bandtkie pierwszym historykiem i to jest jego największa zasługa. Pisząc swoją syntezę dziejów polskich „Dzieje narodu polskiego" (1835), wszędzie kulturę wydobywa na wierzch, rozumiejąc, że historja narodu to nie sama tylko historja jego polityki i losów, ale całokształtu jego życia i poczynań. Jako bibljograf również badał kulturę i jego „Historja drukarń krakowskich" (1815), „Historja drukarń w Królestwie Polskiem i W. Księstwie Litewskiem" (1826) i „Historja bibljoteki Uniwersytetu Jagiellońskiego" (1821) — to wszystko pierwszorzędne opracowania naszej kultury. Historja książki — to poniekąd historja umysłowości, tak to też bierze Bandtkie. U niego taki suchy przedmiot, jak bibljografja, ożywia się. Gdzie temat nie pozwoli na szczegóły, tam tekst uzupełnia odnośnik; mowa jest o drukarniach, o książkach — więc tłumaczy i o cechach, o zwyczajach cechowych, o cenie książek, o wielkości dawnych bibljotek... Gdy opracowuje zagadnienia numizmatyczne, to znowu pod pióro cisną się uwagi o handlu, o gospodarce, o stylu życia... wszystko to przytem robi gruntownie — w tezach swoich jest ostrożny, śmiałych hypotez nie lubi. Styl książek jego bez zarzutu, — jasny i prosty, korzystnie odbija od lelewelowskich łamańców, tak ostro skrytykowanych przez Słowackiego („gada hieroglifem stylu").

W działalności jego warto (zwłaszcza dziś) jeszcze jedno podkreślić — słowianofilstwo, dziwne może u pół-Niemca, a tak gorące, że z miłości do wszystkiego, co słowiańskie, nawet alfabet rosyjski uważa za „ze wszystkich najozdobniejszy". Wszedł też w zażyłe stosunki z Czechami, zwłaszcza Hanką i Dobrowskim, a także ze Słoweńcem Kopitarem. Z Rosjan darzył go swoją przyjaźnią uczony-amator, kanclerz hrabia Rumiancow. — I marzyła się temu trzeźwemu uczonemu jakaś wielka słowiańska jednota, bez waśni i w wiecznej zgodzie, bo: „Nie uwłacza piękność i doskonałość brata jednego, bratu drugiemu. Czeski, polski i teraźniejszy rosyjski, a dawny moskiewski język, kwitnąć i nietylko blasku, ale oświaty wzajemnej sobie dodawać mogą, a daj Boże, żeby i język małorosyjski mieścił się w rzędzie języków słowiań-

skich uczonych. Tudzież, daj Boże, aby słowiański, cerkiewny djalekt, jako pierwsze, a przynajmniej jako najdawniejsze nam wiadome źródło słowiańszczyzny, był znany i uczony po wszystkich narodach słowiańskich, nie dla jedności Kościoła, ale dla zrozumienia nauk wyższych, dla zachowania narodowości słowiańskiej, ażeby nie zniemczeć, nie sturczeć, nie statarczeć, nie odsunąć się od wspólnego źródła narodowości, którego wieków dziewięć wysuszyć nie zdołało". („Uwagi nad językiem czeskim, polskim i teraźniejszym rosyjskim").

Zapuszcza się też z lubością w prehistorję Słowian, starając się rozwikłać jej częstokroć nierozwiązalne zagadki, — do wszystkiego tego jednak przystępuje badawczo i poważnie. Nic tu nie spekuluje i nie nałamuje etymologji w różne „Babie Łona" (stąd niby Babilon) — co trafia się nawet u Potockiego, nie mówiąc o Kołłątaju, — nie wnioskuje zbyt pochopnie, jak czasem Surowiecki z ową sielanką słowiańską, z czego Bandtkie szydzi, bo „takich barankowych słowian zapewne na świecie nie było i być nie mogło". Za wzór jego naukowej metody może służyć drobna rozprawka o tem, że „Mieszkańce w górach szląskich nie są szczątkami starożytnych Germanów", — w niej, nie uciekając się do etymologji a tylko operując dokumentami (akty donacyjne miast, przywileje), ustala słowiańskie oblicze kraju. Ta słowiańska strona jego działalności najlepiej została oceniona i zbadana, ale niestety nie zrobił tego żaden Polak, ale Rosjanin — Francew, profesor praskiego uniwersytetu, w swojej pracy *„Polskoje słowianowiedienje konca XVIII i pierwoj czetwierti XIX wieka"* (1906), on też wydał korespondencję Bandtkiego z Dobrowskim.

Bieg życia i owoc tego życia nie wyczerpują jednak jeszcze zobrazowania jednostki, — taki portret byłby niezupełny, gdyby nie powiedzieć nic o charakterze portretowanego. To składnik najistotniejszy i dany człowiek dlatego tak żył i tak pracował, że miał takie właśnie zasady i taki charakter.

Znajomość więc jego charakteru to klucz konieczny do zrozumienia zupełnego postaci Jerzego Samuela Bandtkiego, — a na czoło cech jego charakteru wysuwa się pracowitość. Pełne prawdy są jego słowa, że „całe życie przepędziłem na pracy ciągłej, choć mnie miłej". W pracy tej, można powiedzieć, nie znał miary i nie zrażał się niczem, trudności raczej rozgrzewały jego zapał, w myśl niemieckiego przysłowia, że „im więcej nieprzyjaciół, tem większa chwała zwycięstwa". Szczery aż do otwartości, nie był zbyt miły dla ludzi, zwłaszcza tych, którzy go mniej znali, a nawet dla bliższych nie musiała być przyjemna jego skrytość. Miał też wielu wrogów w Krakowie i na początku swego w nim pobytu nie czuł się tu dobrze, żaląc się na „oczernianie ludzi poczciwych" i niemiły mu „duch krakowskiej zazdrości i ustawicznych i niezrozumiałych projektów". Utrudniało mu sytuację i to, że jako bibljotekarz miał zadanie bardzo ciężkie. Nikt bowiem na uniwersytecie nie znał zasad bibljotekarstwa i nikt nie cenił jego pracy. Otoczony samymi laikami, musiał z nimi staczać ciągłe boje, w których przydałby mu się talent dyplomatyczny, pewna giętkość i umiejętność obcowania z ludźmi, ale tych zalet właśnie był pozbawiony.

Zamyślał też serjo Kraków opuścić i gdy w 1818 roku wytworzyła się możliwość objęcia katedry historji powszechnej w Wilnie, nie był od tego, żeby tam pojechać. Plany te jednak się rozchwiały, a Bandtkie, przeżywszy jeszcze gorsze chwile w 1821 roku, został ostatecznie w Krakowie i z Krakowem się pogodził.

Był to człowiek z jednej bryły, bardzo prostolinijny, może trochę szorstki, ale nawskroś zacny. Młodzież kochał i rozumiał ją, troszcząc się o nią zawsze. Gdy układano statut uniwersytetu, walczył o rektorską osobną dla niej juryzdykcję — uważając, że jest rzeczą niemożliwą, by młodzież miała jedne sądy z kryminalistami. Przeciwny był też studenckim opłatom, chcąc je zredukować do *minimum* O moralnym obowiązku, nałożonym przez stryja, pamiętał zawsze, i te 300 talarów oddał, pomagając innym — zwłaszcza bratu, a później Maciejowskiemu.

Życia towarzyskiego nie prowadził, ograniczając się do szczupłego koła prawdziwych przyjaciół. Wystarczał mu dom własny i uczniowie. Ożenił się późno, bo okrągło pięćdziesiątkę sobie licząc z kuzynką Zofją Dorotą Bandtkie, która ani słowa po polsku nie umiała. Dzieci nie miał, zastępował mu je poniekąd siostrzeniec (Józef, syn Marji Fritschowej), który mieszkał u wuja, i pod jego opieką uczęszczał do gimnazjum św. Anny, a później na wydział prawny uniwersytetu. Uczynny, nie rozpływał się w obietnicach i nie robił niepotrzebnych nadziei, ale proszony o coś, poprostu sumiennie starał się zrobić, co można. Gorliwy protestant, przed objęciem stanowiska w Krakowie zastrzega sobie swobodę wyznania. Jego zabiegom zawdzięcza gmina luterska Krakowa oddanie przez miasto na zbór opustoszałego wtedy kościoła św. Marcina. Ten jego protestantyzm w pobożnym Krakowie nie był zbyt mile widziany.

Mimo niechęci do kolegjów i obrad, był jednak członkiem wielu towarzystw naukowych polskich i niemieckich, a z nienaukowych Krakowskiego Towarzystwa Dobroczynności. Z wziętych na siebie obowiązków wywiązywał się zawsze sumiennie, — często raczej przewlekał robotę, niż śpieszył się na termin, nie znosząc partackiej pracy, byle było.

Najlepszą zresztą charakterystyką i jej istotnem uzupełnieniem będą własne jego wypowiedzi, których parę tu przytoczę:

„Godność człowieka prawdziwą jest tylko jedna, to jest ta, którą mu cnota daje".

„Rozum przed laty nie przychodzi, a nauczycielem dla każdego jest świat cały".

„Ten, co rozumie, że posiada doskonale naukę jaką w całej swej obszerności, najczęściej najdalej od szczytu jej bywa oddalonym, bo nie zna ogromu i nieograniczonych jej kresów, a gdy to, co wie, lub umie, ma za całość, sam siebie tylko zwodzi, jeżeli tak pochlebnie o sobie tuszy".

„Mają nauki to w sobie, że są miłemi i słodzą życie, są pociechą w niedoli i niedozwalają nam zaginąć tak łatwo w przeciwności".

„Bez wolności nie mogą nauki kwitnąć, a jeżeli nie będą się drukowały niedorzeczności, to nie będą i dobre książki wychodziły".

„Z małych początków ręka Wszechmocnego wielkie rzeczy tworzy, ludzie tylko wielkie rzeczy na małe przerabiają".

KAROL STEFAN FRYCZ

NA WIDOWNI

„Sanacja” i ideały kultury polskiej. — Nie może sobie znaleźć miejsca w społeczeństwie. — Jak realizuje ideję współpracy z państwem. — Autorytet i zaufanie.

WPRAWDZIE pewien lord w komedji Wilde'a powiedział, że życie jest zbyt poważne na to, by się niem serjo zajmować, to jednak przed laty, przedzierając się przez bagna bezdziejowości, nie myśleliśmy, że Polska potrzebna będzie naszym lordom do ilustrowania tego paradoksu. Owszem, powtarzano wkółko: Polska to wielka rzecz!

Zdarzają się w dziejach szczególne okazje, kiedy te utarte słowa nabierają realnej treści, mianowicie kiedy pokolenie żyjące znajduje się w obliczu dzieła, którego dla wielkości Polski ma dokonać; wtedy są te słowa, jak kamerton, którym się mierzy, czy ton powagi jest dostateczny. Do tego rodzaju okazyj należą — któż temu zaprzeczy? — takie czynności, jak zmiana ustroju państwa, połączona z regulowaniem zasad współpracy państwa ze społeczeństwem, do czego służy dobrze obmyślana ordynacja wyborcza.

Stronnictwo BBWR, obecnie rządzące, oparło się było na haśle tej współpracy; tymczasem, jak widać, sprawa jest zbyt poważna, aby ją brać na serjo. Z pośpiechu i lekkości, z jaką tę sprawę się traktuje w komisjach parlamentarnych, wnoszę, że nasi lordowie kwapią się raczej do wypoczynku wakacyjnego, niż do porozumienia ze społeczeństwem, i że owa Polska, zbliska widziana, nie wydaje się im rzeczą tak bardzo wielką.

Dyskusje w komisjach do niczego nie prowadzą dlatego, że każdy z dwu obozów, ścierających się z sobą, co innego ma na myśli; jedna strona broni praw, przysługujących w życiu publicznem społeczeństwu, druga, mając decyzję w kieszeni gotową, już zawczasu przemyślała sposoby, jakby się od społeczeństwa odgrodzić, życie państwowe przed niem zakonspirować i przy władzy się utrzymać. I bynajmniej tego stanowiska swego nie tai. *Salus reipublicae?* Zapewne. Ale to rzecz zbyt poważna.

Sytuacja cała wypadła tak, że właściwie nie ma z kim o sprawie dyskutować. Rzecz ciekawa, że kluby BB w Sejmie i w Senacie nie mają ochoty przemawiać w obronie projektów, są, jak widać, zakłopotane, żaden polityk odpowiedzialności za projekty na siebie brać nie chce. Tak samo prasa sanacyjna jest zażenowana i milczy. Każdy z klubów BB wyręcza się upoważnionymi *ad hoc* adwokatami, nawet nie cywilistami: w komisji sejmowej obronę wnosi adw. Car, w senackiej — adw. Perzyński. Gatunek sofistyki zależy od ich talentu zawodowego i nie angażuje polityków.

Bo istotnie, co może przytoczyć na uzasadnienie polityk, gdy mu powiadają: Samiście niedawno uchwalili konstytucję, jaka wam się żywnie podobała; powiedzieliście tam, że wybory mają być bezpośrednie, równe, tajne, a tu w ustawie wyborczej te zasady łamiecie. Oczywiście, nawet mała doza solidności odbiera argumentom „plastyczność”, zostawia się więc rzecz fachowcom.

W komisji senackiej senator Woźnicki, zdziwiony pośpiechem przewodniczącego, przytoczył art. 51 regulaminu. Komisja Senatu nie ma prawa debatować nad ustawą, która dopiero wchodzi do Sejmu. Artykuł ten jest bezsporny nieprawdaż?

— Tak, jest bezsporny — odpowiada obrońca, ale....

Przypomina to monolog kabaretowy, gdzie adwokat mówi: „Wysoki sądzie, dajmy na to, mój klijent istotnie zabił. A ja się pytam: co jest!?” Robię to niemiłe zestawienie, żeby wskazać, jak wielki dystans dzieli nas od poziomu kultury narodów cywilizowanych. Gdzieindziej ostrzeżenie: baczność, prawo! ma moc magiczną. Widzielimy w tych czasach, jak w Ameryce (nie tak znowu bardzo cywilizowanej) na jedno szarpnięcie linką przez skromnego sędziego stanął w miejscu jak wryty, rozpędzony całą parą, prowadzony przez Roosewelta, pociąg państwa, choć to groziło nawet pewną katastrofą. U nas na wyraz „prawo” politycy uśmiechają się pobłażliwie.

— — — — — — — — — — — — — —

W uśmiechu tym widzę streszczony dramat naszej kultury z ostatnich lat kilkudziesięciu. Nie można odmówić dawnej szlachcie polskiej poczucia i rozumienia prawa. Posłuchem wobec prawa chłop polski konkurować może śmiało z innemi warstwami społeczeństwa. Z norm prawa tradycyjnego ludu sporządzić można cały kodeks i jego historję zilustrować przykładami wielkiego poczucia legalności wśród ludu.

W ostatnich czasach ukazało się dzieło d-ra fil. Bogdana Suchodolskiego „Ideały kultury”[1]). Z niesłychaną pracowitością porobił on wypisy z pisarzy XIX i XX w., aby dać obraz polskiej myśli ideologicznej w zakresie kultury za te czasy. Sprezentował nam zgórą stu autorów w stu kilkudziesięciu rozprawach (przytoczonych dłuższemi urywkami), doskonale poklasyfikowanych i skomentowanych. Doniosłość tego dzieła jest ogromna; otworzyło nam ono widok na mało znaną w swej całości połać tej trójpolówki, jaką stanowią w naszej gospodarce umysłowej: 1) nauka z filozofją, 2) literatura piękna z krytyką i 3) publicystyka ideologiczna. To trzecie pole historja piśmiennictwa uznała za bieżącą wodę, która dokonywa swego, obracając młyny życia praktycznego, jest pożyteczna, ale nie zostawia trwałych po sobie pomników. Suchodolski przewertował czasopisma, archiwa rękopiśmienne, broszury, dzieła zbiorowe, literaturę krytyczną i stworzył rodzaj mapy z rozkładem krynicznych źródlisk myśli, jak ona pracowała, wytwarzając zbiorowo systemy.

Z tego zestawienia naszą wyobraźnię, którą obejmujemy świat niepochwytny cywilizacji polskiej, uderza swym urokiem jakaś siła mistyczna ducha, pnącego się w górę w celu budowania strzelistej, niebosiężnej świątyni i d e a ł u. Odbywa się ta praca samorzutnie, nie reglamentowana, bez katedr, bez subsydjów. Rządzi tu wrodzona, boska potrzeba dźwigania ideą cywilizacji. Podobną potrzebą poznawania duszy ludzkiej powodowana literatura piękna, dostarczająca tamtej pracy przez krytykę wiele materjału, jest tak ponętna dla ogółu, że nie pomijają jej szkoły, szeroko jest popularyzowana, katalogowana, krytycznie opracowywana; myśliciele natomiast, którzy darowaną narodowi „intuicję świata” (jak to nazwał Gołuchowski) wcielają w jakiś system kultury społecznej i oso-

[1]) B. Suchodolski: „Ideały kultury a prądy społeczne” (1933, str. 527). „Kultura i osobowość” (1935, str. 660). Wyd. Związku nauczycielstwa polskiego.

bistej, zostają poza nawiasem historji. Los architektów i reżyserów.

Ale nie o to chodzi w tej chwili. Myśliciele ci w dążeniu do ideału współżycia społecznego, obierają sobie różne drogi, zależne od światopoglądów, od warunków czasu i sfery. Mają jednak, jeśli nie cele identyczne, to w każdym razie punkty styczne w pojmowaniu godności ludzkiej, etyki, prawa. Według systemów, którym hołdują i prądów, którym służą, dzielą się na grupy. Suchodolski rozklasyfikował pracę tych myślicieli na grupy takie, jak konserwatyzm, radykalizm, nacjonalizm, socjalizm, ludowcowość, nie widać jednak między temi stanowiskami takiej kombinacji, jak „sanacja". Gdyby taki prąd mógł w społeczeństwie mieć swe korzenie, toby Suchodolski wydzielił go w osobą grupę: „waregizm".

Bo istotnie, w jaki sposób znaleźć może dla siebie miejsce wśród żywych sił społeczeństwa prąd sztuczny, którego „ideologja" polega na przeciwstawieniu się społeczeństwu i jego ideałom kultury? Biorę z pod ręki dziennik, który właśnie z powodu rozpraw Komisji sejmowej nad ordynacją wyborczą zastanawia się nad tym dziwotworem społecznym. Oto jak sytucję tej grupy charakteryzuje publicysta „Warsz. Dziennika Narodowego" (z 15.VI):

„Kryterja tedy stosowane przez dwie biorące udział w dyskusji strony są tak różne, że już nietylko o porozumieniu, lecz nawet o wzajemnem rozumieniu się mowy być nie może. Uczestnicy rozpraw mówią dwoma zgoła różnemi językami i dogadać się ani chcą, ani mogą.

To, co się obecnie odbywa na ulicy Wiejskiej, jest ostatnim etapem działań, których celem była ostateczna legalizacja obecnego stanu rzeczy w Polsce. Konstytucja została tak pomyślana, by zabezpieczyć pozycję obozu rządzącego, ordynacje wyborcze do sejmu i senatu są już tylko konsekwencją i uzupełnieniem tej konstytucji.

Próżne są tedy wysiłki tych, którzyby pragnęli reformom konstytucyjnym nadać jakieś dziejowe znaczenie, zrobić z nich etap w rozwoju ustroju państwa polskiego. Służą one bowiem celom bardzo ograniczonym, są ściśle związane z istniejącym dziś w Polsce stanem rzeczy i nie przetrwają dłużej, niż żywot polityczny ich twórców, którzy kroją ustawy konstytucyjne na swoją miarę i w odpowiednim dla siebie stylu, a nie na miarę narodu i w stylu wytworzonym przez naród polski w jego dziejowym rozwoju".

— — — — — — — — — — — —

Grupa bezideowa nie znajdzie dla siebie trwałego oparcia. Prawda, można liczyć na autorytet, któremu społeczeństwo podpisuje weksle *in blanco*. Autorytet bywa rzeczą bardzo dobrą, ale trzeba go mieć. Nie jest to jednak stanowisko bez oparcia; autorytet ma walor, o ile znajduje w społeczeństwie zaufanie. Autorytet wtedy nie jest siłą tylko nacisku, lecz siłą dźwigania, on też pracuje z udziałem społeczeństwa, dzięki jego zaufaniu. Dyskusja parlamentarna nad ordynacją wyborczą daje sztucznemu stronnictwu BB pewne wskazania, czy ono na to zaufanie liczyć może. Powiedziano tam rzeczy bardzo ważkie, tem groźniejsze, że nie grożące, lecz ostrzegawcze. dające się stwierdzić objektywnie.

BB niedostatecznie legitymuje się ze swej ideowości i bynajmniej nie pomaga sobie tem, że drogę swym krokom toruje na przełaj norm, które sama ustanawia. Pokazuje się już z tych tarć o przepisy prawa elementarnego, że nie dąży gościńcem, że idzie manowcem. Istotnie, gdy się przyjrzymy mapie ideałów polskiego społeczeństwa, sporządzonej przez B. Suchodolskiego, takiej drogi na niej niema.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

O CO CHODZI OPINJI PUBLICZNEJ, gdy się wdaje w sprawę reformy pisowni polskiej? Ogół polski odczuwa, że hasło daleko idących uproszczeń w pisowni jest dalszym ciągiem ofenzywy na konserwatyzm narodowy, pielęgnujący barwę historyczną w swojej kulturze. Z tych samych powodów toczyła się niedawno walka o powieści historyczne Sienkiewicza, żeby je ze szkół wycofać, z tego samego powodu narzuca się szkole naukę aktualności politycznych i radykalizm społeczny. Chodzi o naderwanie nici, łączących myśl z przeszłością.

O ten atak na pisownię opinja oskarżała lingwistów, pośrednio Akademję Umiejętności. Teraz dopiero prof. Kazimierz Nitsch, głównie atakowany, sam radykał z przekonań, zabrał głos w sanacyjnym „Pionie" (nr. 24) w obronie językoznawców i nawiasem wyjawił co następuje:

„W rzeczywistości impuls wyszedł od... Ministerstwa Oświaty. Kiedy mianowicie Akademja Umiejętności podjęła próbę wyjścia z impasu, spowodowanego nieogłoszeniem przez ministerstwo urzędowego swego zatwierdzenia IX wydania pisowni Akademji, i zaproponowała Ministerstwu nową „ankietę", Ministerstwo za jej warunek postawiło niekrępowanie się przy dyskusjach żadnemi dotychczasowemi uchwałami, ba, zażądało rozważenia jaknajdalej idących uproszczeń!

Stało się to poza mną, bo w pewnej chwili miałem już tego wszystkiego dosyć. Zasługę powtórnego zwrócenia się do Ministerstwa mają dwaj inni członkowie Akademji Umiejętności: profesorowie A. Kleczkowski i T. Lehr-Spławiński; nie mogli oni znieść myśli, że sprawa się na lata zabagni. A Ministerstwo, po chwilowej rezygnacji na chaos, godząc się na definitywne załatwienie, miało szczęśliwą myśl zażądania rozpatrzenia wszystkiego".

Niepotrzebnie prof. Nitsch traktuje z ironją odruchy opinji społecznej, broniącej „świętości" narodowych, zbyt surowo gromi ignorancję „grzmiących rycerzy tradycyjnej kultury". Dobrem prawem opinji jest stawać w obronie tradycyj i uczony lingwista widocznie się z tem liczy, skoro nie tylko przed nią się tłumaczy, ale i przed odpowiedzialnością się zasłania. Nam w tej chwili wystarcza jego wyjaśnienie:

„Właściwie nikt dziś nie miał zamiaru podejmować reformy ortografji. Szło o jej ujednostajnienie i usunięcie pewnych bolączek. Ale skoro Ministerstwo przystąpiło do inicjatywy Akademji pod warunkiem uproszczenia i niekrępowania się przeszłością, — to lingwiści jako fachowcy obowiązani byli rzecz objektywnie rozpatrzyć, i to robią".

POMRUKI REWOLUCJI FRANCUSKIEJ wciąż nas jeszcze dochodzą przez „Kurjer Poranny". Prorządowy ten organ, tak harmonijnie współpracujący z „Czasem", mającym w herbie Okopy św. Trójcy, kokietuje swoich czytelników czkawką rewolucyjną. Stale pijanym Rewolucją Francuską jest akademik literatury, kawaler orderów p. Rzymowski. Nie o niego zresztą nam chodzi, lecz o tych, którzy mu z góry patronują. Staroświecki ten „robespiernik" jednym rozmachem pióra pióra potrafi zmieść z pomierzchni Polski kapitalistów, szlachtę i Kościół katolicki. Oto: jak sobie poczyna (w nr. 162):

„Gdy więc sfery gospodarcze i wielkoziemiańskie, zapatrzone w swoją żądzę zysku osobistego, jako jedyny motor bogactwa (ale bogactwa tylko dla nielicznej grupy uprzywilejowanych), wołają o redukcję funkcyj Państwa

o degradację pracy publicznej i jej szeregów na rzecz prywaty i prywatyzmu, spotkać się muszą z krótkim lecz stanowczym protestem: „Nie tędy droga".

Bogactwo jeśli ma być przywilejem nielicznych, staje się nie podkładem potęgi Państwa, ale czynnikiem jego wewnętrznego rozdarcia. Pijawka, tucząca się na anemicznem ciele nędzarza, już od czasów Rewolucji Francuskiej, przestała być symbolem, zdolnym w masach obudzić entuzjazm.

Najżarliwsza propaganda uciech zagrobowych nie może już dzisiaj w sercach ludu zabić poczucia należnych mu praw do człowieczego bytu na ziemi. Lud spostrzega, że ci, którzy odwracają wzrok jego od doczesności, jako od padołu łez, czynią zarazem wszystko, aby dla większości społeczeństwa ziemia nigdy padołem płaczu być nie przestała"

Pięknie to brzmi i widocznie popłaca. Ale gdybyśmy cząstkę choćby tych gromów na „żądzę zysku osobistego", „prywatyzm" i na „pijawki" — skierowali w stronę żydów, p. Rzymowski groziłby nam Berezą. Nie znosi nacjonalizmu polskiego: taką już ma naturę...

WALKA Z ŻYDOSTWEM, jak wszystkie kolejno punkty programu narodowego, powoli przestaje być wyrazem poglądów jednej tylko grupy, stając się, coraz wyraźniej, powszechnym postulatem całej, wogóle, uczciwej opinji polskiej. Rzecz charakterystyczna, że symptomaty tej stopniowo dokonywającej się przemiany pojęć obserwować można w jednem z najbardziej doniedawna filosemickich środowisk w Polsce, mianowicie w Krakowie.

W ostatnich czasach, gdy chodziło o skasowanie etatu trzeciego wiceprezydenta Krakowa i temsamem usunięcie z wiceprezydentury miasta— żyda, za tą redukcją głosowali jednomyślnie wszyscy, bez różnicy przynależności partyjnej, radni Polacy (przeciwko, oczywiście,—wszyscy żydzi). Przed kilku dniami znów, naczelny organ Polskiego Stronnictwa Ludowego, krakowski „Piast", energicznemi słowy nawoływał młodzież wiejską do przeciwstawienia się zalewowi żydowskiemu na polu gospodarczem.

Obecnie warto zwrócić uwagę na artykuł wstępny, jaki pod kryptonimem W. Z. (ks. Piwowarczyka) ukazał się w krakowskim „Głosie Narodu", reprezentującym, jak wiadomo, opinję kół katolickich. Czytamy tak:

„Idzie przez całą Polskę, wszerz i wzdłuż, potężny prąd samoobrony polskiego narodu przed zalewem żydostwa. Jest on aktywny na wsi, która w akcji odżydzania życia gospodarczego przoduje społeczeństwu,—ogarnia także i miasta. Dało mu się porwać już nasze mieszczaństwo, a wyraźnie sympatyzuje z nim większość inteligencji...

Jest rzeczą nieprawdopodobną, by naród-gospodarz mógł długo tolerować w swoim „domu" pasorzytującego intruza. Tolerował go przed wojną, bo swego „domu" nie miał. Dziś, kiedy go posiadł, i kiedy go urządza według swej woli, i według tego prawa moralnego, które mu daje charakter „narodu-gospodarza", — dalsza tolerancja byłaby równoznaczna z samobójstwem".

A dalej:

„Jedynym moralnym i celowym sposobem rozwiązania sprawy żydowskiej jest wytrwała, systematyczna i na dłuższy okres czasu obliczona praca nad odżydzeniem własności nieruchomej w mieście, w przemyśle, handlu i rękodziele, i — nad wyzwalaniem kultury polskiej z żydowskich wpływów (prasa, beletrystyka, krytyka, literatura i t. p.). Jest to droga niewątpliwie dłuższa i dlatego niepopularna w kołach ludzi gorących. Ale bezpieczniejsza, moralniejsza, a nadto — skuteczniejsza".

Poglądy najzupełniej słuszne. Oczywiście, każdy rozsądny Polak musi dążyć do tego, by ów „dłuższy okres czasu" stał się jednak możliwie... najkrótszym, państwo zaś przy pomocy odpowiedniego, całkiem z prawem naturalnem zgodnego ustawodawstwa, proces powyższy nader skutecznie będzie musiało ułatwić i przyśpieszyć. Pozatem zaś na jeden jeszcze punkt zwrócić należy uwagę: mamy na myśli zagadnienie t. zw. „małżeństw mieszanych".

Niewątpliwie bowiem ważną jest rzeczą, abyśmy w Polsce, jako gospodarze, nie podzielali wespół z żydami, „własności nieruchomej", „handlu", „rękodzieła", aby nie byli oni współtwórcami naszej kultury duchowej, ale ważniejsze jest, by nie stawali się współtwórcami naszego życia rodzinnego — gdyż cóż pomoże „odżydzenie handlu", jeżeli zażydzimy... rodzinę?!

„Przedewszystkiem powinniśmy uszanować krew narodu"—jak słusznie pisał, także krakowianin rodem, Stanisław Wyspiański w „Wyzwoleniu".

WYJĄTKI z przebiegu dyskusji nad ordynacją wyborczą w komisji sejmowej. (Cytaty podane ze sprawozdań prasowych).

Mówi poseł Winiarski (Str. Nar.):

...Pozwala się wprawdzie, ażeby 500 wyborców zgłosiło swego kandydata do kolegjum wyborczego. Nie mówię już o tem, że będzie zależało od rejenta, jak długo potrwa legalizowanie takich 500 podpisów ale i tak zebranie $^1/_3$ części członków kolegjum przez tych niezrzeszonych wyborców wymagać będzie mobilizowania 25.000 do 30.000 wyborców dla zgłoszenia takich kandydatów. Zachodzi pytanie, co się stanie z tajnością głosowania.

A dalej:

Jeżeli chodzi o to, aby sejm był zdolny do spełnienia pewnych funkcyj, to oczywiście musi on mieć pewną powagę. Takiej, powagi nie uzyska, jeśli będzie składał się z manekinów wprowadzonych tam przez administrację.

I dalej:

Panowie chcecie zamknąć klapy bezpieczeństwa, ale ciśnienie może wzrosnąć tak, że się wyładuje wybuchem.

Mówi poseł Rataj (Klub ludowy):

...okręgi są tak podzielone, że np. w Wilnie 1 poseł wypada na 51.000 mieszkańców, w Warszawie na 98.000, a w Chełmie na 214.000, a w I-ym okręgu na 245.000. W jaki sposób można będzie wytłumaczyć chłopu polskiemu z pod Jędrzejowa, dlaczego głos jego przedstawia o tyle mniejszą wartość, niż głos np. mieszkańca północnej dzielnicy Warszawy.

Komentarz do tego szczegółu projektu ordynacji wyborczej można znaleźć w słowach przedstawicieli władz i obozu sanacyjnego w Łodzi, którzy oświadczyli niedawno w „Świecie", że mała ilość kapitalistów rekompensuje szerokie rzesze robotników polskich...

O „samorządach" i sposobie przeprowadzania do nich wyborów:

...cynizm przedstawicieli niższej administracji doprowadzał ludzi do rozpaczy. Co do samorządu gospodarczego, to np. o istnieniu izb rolniczych nie wie w Polsce 90 proc. chłopów. Są to organy ministerstwa a nie ludności. W podobny sposób ma się sprawa z izbami przemysłowemi i rzemieślniczemi.

Mówi poseł Rymar (Str. Nar.):

Ordynacje wyborcze nam przedłożone są wyrazem dążenia grupy rządzącej do utrzymania władzy w swych rękach.

Poseł Czernicki (Klub Ludowy):

...oba projekty BB mają ten sam cel, aby odbyły się wybory bez wyborów, ale lud polski orjentuje się w tem...

Poseł Komarnicki (Str. Nar.):

Chcemy, by Sejm był zdolny wykonywać w pełni prawo kontroli rządu, aby kontrola ta nie była fikcją. Może to być wtedy tylko, gdy Sejm będzie czynnikiem niezależnym, gdy będzie czuł, że ma mocne oparcie o żywe siły społeczne. Bynajmniej nie znaczą te słowa, bym stawał na gruncie integralnego parlamentaryzmu, przeciwnie, nie uważam wybujałego parlamentaryzmu za zjawisko zdrowe. Funkcje jednak parlamentu nie powinny być sprowadzone do fikcji lub poniżenia tej instytucji.

A dalej:

Państwo to naród zorganizowany. Nie możemy więc pominąć przedstawicielstwa narodowego, a musimy mu przyznać należne miejsce. Jako nacjonaliści nie jesteśmy skrępowani szablonami. Nacjonalizm może przeprowadzić zasadniczą reformę ustroju przedstawicielstwa narodowego w ramach państwa narodowego. Próby tych reform obserwujemy w niektórych państwach europejskich. Polski ruch narodowy powstał, gdy Europa daleka była od tej idei. Jest on więc samodzielnym.

Poseł Niedziałkowski (P. P. S.):

Wszystkie siły społeczne, które nie zmieszczą się w ramach takiej ordynacji wyborczej, będą w Polsce nadal istniały i to rzeczywiste życie będzie się rozwijało drogami które samo sobie wyżłobi.

Wniosek Klubu Narodowego:

„Wysoki Sejm uchwalić raczy: Sejm przechodzi do porządku dziennego nad wnioskiem Kl. B. B. W. R. w sprawie ordynacji wyborczej sejmowej".

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU REGJONALNEGO

TOWARZYSTWO przyjaciół nauk w Lublinie wydało niedawno okazały tom (329 stronic), jako drugi z rzędu „Pamiętnik lubelski" za lata 1931 — 1934. Chociaż w stosunku do poprzedniego ten tom stanowi wielki postęp (umniejszony poczęści tem, że wchłonął w siebie treść „Regjonu lubelskiego", który przestał wychodzić), redakcja obiecuje nam jeszcze więcej i chce „następny postawić na znacznie wyższym poziomie".

Treść książki bardzo rozmaita, skoro składają się na nią nietylko rozprawy, ale także poezje i nowele, różne notatki, materjały i wreszcie kronika regjonalna, wszystko przytem uzupełnione ilustracjami, których na osobnych planszach dano zgórą 20. Dzięki więc tym pamiętnikom, Lublin w szeregu wydawnictw regjonalnych wyróżnia się bardzo korzystnie; bije go chyba tylko Wilno ze swojem „Ateneum", groźną konkurencję stanowią „Roczniki Wołyńskie", ale już wydawnictwa kieleckie, nie mówiąc o innych, muszą mu ustąpić pierwszeństwa.

Jest to całkiem zrozumiałe. Lublin ma bowiem specjalnie przychylne warunki do uczynienia z siebie swoistego centrum umysłowego, — może śmiało pretendować do postawienia go obok Krakowa czy Lwowa. Jest dosyć duży, leży w zamożnej okolicy, daleko od innych ośrodków, ma piękne i świetne tradycje, uniwersytet, sąd apelacyjny... Tem inne miasta, mniej szczęśliwe, poszczycić się nie mogą. To też Lubelszczyzna naprawdę stanowi odrębny regjon i gdy pozostałe województwa Małopolski dadzą się łatwo ugrupować jedne obok Lwowa (stanisławowskie, tarnopolskie, może nawet wołyńskie), a drugie obok Krakowa (kieleckie i śląskie, które jednak jest regjonem ze względu na wyraźną historyczną odmienność swoich losów) — ona musi pozostać na uboczu. Staje więc przed Lublinem wdzięczne zadanie przerobienia się na jedną z duchowych stolic Polski, do czego rzeczywiście zmierza.

Wracając do „Pamiętnika", z rozpraw w nim zamieszczonych, niektóre tylko ze względu na swoich autorów są regjonalne — choćby to interesujące studjum p. Papierkowskiego o „Echach mickiewiczowskich w poemacie Franciszka Markowića „Dom i Świat" — gdzie na samym wstępie z przyjemnością czytać możemy słuszne stwierdzenie, że „chorwacka poezja romantyczna raczej na polskim, niż niemiecko-angielskim wychowała się romantyzmie". — Z innych tego rodzaju rozpraw bardzo ciekawe i ładnie napisane są fragmenty p. Jana Riabinina „Z dziejów 1794 roku". Tych czasów dotyczy również, ściśle regjonalny, a zamieszczony w dziale materjałów, opis pobytu króla Stanisława Augusta w Węgrowie w roku 1784. Ta współczesna relacja braciszka reformackiego jest tem ciekawsza, że Naruszewicz pobyt króla w tem miasteczku zbył tylko suchą notatką, że „z rana o godzinie ósmej ruszył Najjaśniejszy Pan z Węgrowa do Sokołowa". Na uwagę wreszcie zasługuje studjum prof. Witolda Krzyżanowskiego p. t. „Teoretyczne podstawy faszyzmu". Przyczem dodać należy, że jest to jedyna w całej książce praca na temat społeczno-gospodarczy, wszystkie pozostałe dotyczą historji, albo historji literatury.

Z tematów regjonalnych najciekawsze są rozprawy, dotyczące dziejów miasta Lublina, a właściwie mieszczańskiego społeczeństwa lubelskiego — w liczbie trzech: p. Kamykowskiego „Papiernia lubelska", p. Kamińskiego „Miecznicy lubelscy" (nie o urząd szlachecki tu chodzi, ale o cech wyrabiających miecze-*gladiatores*) i p. Dąbrowskiego „Cech haftarzy lubelskich w XVII wieku".

Historja naszych miast jest tak strasznie zaniedbana, że najdrobniejsze nawet badania w tej dziedzinie są już rewelacją. Ogół polski całkowicie nie zdaje sobie sprawy, że jednak miasta w Polsce istniały, że miały swoje świetne chwile i że nie zawsze były żydowskie. Te rzeczy dla przeciętnego inteligenta polskiego są naprawdę bajką. A warto tę bajkę poznać.

W dziale literatury figurują utwory p. p. Madeja, Szczerbowskiego, Komara, Kasperskiego i Jaworskiego — plon wcale obfity.

Na zakończenie jeszcze jedno w kronice zasługuje na przeczytanie: sprawozdania p.p. Piwockiego („Lubelski związek pracy kulturalnej" i „Kronika konserwatorska") i Madeja („Ruch literacki w Lubelszczyźnie").

K. S. F.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Instytut śląski wydał pracę historyczną Tadeusza Silnickiego „Rola dziejowa kościoła polskiego na Śląsku w wiekach XI — XIII". (Katowice, 1935, str. 46. Cena 2 zł.). Autor przedstawia poszczególne etapy rozwoju organizacji polskiego kościoła na Śląsku i wiąże różnorodne zagadnienia tematu we wszechstronną całość, wykazując doniosłą rolę kościoła na Śląsku i jego zasługi w walce z zalewem niemczyzny. W ostatnich rozdziałach pracy przewijają się niezmiernie ciekawe dzieje biskupstwa wrocławskiego, jako terenu zetknięcia się dwu kultur i dwu ościennych typów organizacyjnych.

*

Nakładem Instytutu Śląskiego ukazała się książka Józefa Reissa: „Socjologiczne podłoże śląskiej pieśni ludowej". (Katowice, 1935. Str. 31. Cena 1.50 zł.). Polska pieśń ludowa na Śląsku, niewątpliwie jedna z głównych ostoi polskości ziemi śląskiej, a równocześnie w swych regjonalnych odcieniach oddająca rzadko gdzieindziej spotykaną ekspresję uczucia i śpiewność liryzmu, doznaje w powyższej pracy chyba poraz pierwszy ciekawego oświetlenia od strony socjologicznej. Autor wykazuje ścisły związek pieśni ludowej śląskiej z kulturą ludu śląskiego. Przez ujęcie pieśni śląskiej ze strony socjologicznej autor otwiera przed czytelnikiem nowe horyzonty i stwarza nowe sprawdziany dla polskiej pieśni ludowej na Śląsku.

*

Maciej Krywoszejew „Ustrój teatrów w Polsce i ich samowystarczalność (1765 — 1934)", Warszawa, 1935 r. Autor studjów ekonomicznych „Organizacja Teatrów Rzeczypospolitej Polskiej", „Likwidacja Warszawskich Teatrów Miej-

skich" i „Fundacja Narodowa Teatrów Warszawskich" przedstawia w swej nowej książce historję Królewskiego Przywileju Teatralnego i stosunku teatrów do władz państwowych. Czołowe miejsce poświęcone jest pamięci Wojciecha Bogusławskiego, człowieka talentu i idei, którego duchowem „dziedzictwem i zasługą żyły cztery pokolenia". W czasach, gdy tak w stolicy, jak i na kilkunastu scenkach teatrów magnackich panowały bezpodzielnie widowiska cudzoziemskie, przedstawiane w językach obcych, opery włoskie, komedje i dramaty francuskie i niemieckie, Bogusławski organizuje pierwszą stałą drużynę aktorów polskich. W staraniach o rozwój sztuki narodowej wyjednuje poparcie króla i publiczności, ale nie zdoła oprzeć się konkurencji cudzoziemskich przedsiębiorstw widowiskowych, kierowanych przez rekinów teatru. Dopiero pomoc patrjotycznie myślących magnatów, Sułkowskiego i Czartoryskiego, współudział Bohomolca i innych młodych pisarzów, jakoteż dla zasilenia kasy teatru polskiego wprowadzenie podatku od publicznych zabaw i widowisk, umacnia je niezależność tego teatru na okres czasu, który Bogusławski nazywa „złotym wiekiem dla sceny ojczystej". Lecz konkurencja cudzoziemska tem gwałtowniej wystąpiła do walki przeciw polskości teatru, co też znacznie byt tego teatru podkopało. Pan Krywoszejew przytacza artykuły dekretów królewskich, punkty różnych uchwał i kontraktów, przedstawia przebieg realizacji budowy gmachów teatralnych, cyfry wpływów, subwencyj, pożyczek i deficytów i charateryzuje ofiarność miłośników sztuki narodowej i zachłanność jej szkodników, z których jeden, niejaki Ryx, zostaje, zresztą na krótko, aresztowany.

Analogja do niedawnej afery usuniętego teatralnego przedsiębiorcy uderzająca.

Dalej z okresu stu kilkudziesięciu lat zestawia autor ze znajomością przedmiotu budżety teatrów stołeczyych, prawa własności budynków i inwentarza liczne rozbieżne obowiązki. Wysuwa projekty uzdrowienia gospodarki teatrów, za czem przyjść powinno unardowienie repertuaru. (A. W.)

TEATR

„WYZWOLENIE"

PRZED pójściem na wznowione w teatrze Polskim „Wyzwolenie" przeczytałem dwie recenzje z tej sztuki: jedną w dzieniku narodowym, drugą w dzienniku sanacyjnym.

W pierwszym pisano: „Wznowiono „Wyzwolenie" pośpiesznie i niestarannie"; w drugim — „Dzieło Wyspiańskiego, mimo koniecznego pośpiechu przygotowania, wystawił teatr Polski wspaniale".

Pierwszy sprawozdawca na przedstawieniu „Wyzwolenia" uświadomił sobie „pokrewieństwo idej i nastrojów", łączące dramat ów ze słynną z owych przed 30 laty książką Romana Dmowskiego p. t. „Myśli nowoczesnego Polaka"; tymczasem drugiemu sprawozdawcy w pewnych momentach przypominały się ustępy z listów marszałka Piłsudskiego.

Z pierwszej recenzji możnaby wnioskować, że Wyspiański stał na stanowisku nacjonalizmu, z recenzji drugiego, że był sanatorem w dzisiejszem znaczeniu tego słowa.

Któż z obu krytyków ma rację? Napozór zdawaćby się mogło, że obaj mają rację. „Wyzwolenie" bowiem, jako dzieło zrodzone we wzruszeniu psychiki narodowej, jest jak zwierciadło, w którem każdy Polak rozeznaje swoje oblicze; nietylko nacjonalista, lecz i ci, co zwalczają nacjonalizm, znajdą tam zawsze coś dla siebie. Nie znaczy to jednak, żeby krytyka była bezsilna w sprawie głębszego zrozumienia idei utworu. Pierwszy z recenzentów (a był nim Jan Rembieliński w „Warszawskim Dzienniku Narodowym") ma za sobą całą literaturę krytyczną o „Wyzwoleniu", która nacjonalistyczny charakter dzieła ustaliła.

Gorąco kanikularne odstręcza mnie w tej chwili od trudu rozwiązywania zagadnień, od których ów „najniezrozumialszy" z utworów Wyspiańskiego się roi. Ograniczę się zatem do zanotowania paru wrażeń z widowiska. Wrażenia te są przeważnie nieprzyjemne.

Warszawscy reżyserowie, wystawiając utwory Wyspiańskiego, genjalnego inscenizatora, usiłują zawsze przewyższyć go właśnie genjalnością reżyserską. No i przedstawienia są najczęściej bardzo liche.

Patrzeć poprostu nie można, a przytem uszy więdną, gdy aktor, grający postać reżysera, pan Fabisiak, tłumaczy nie szerokiej publiczności, nieobytej z kulisami teatralnemi, dla której komentarz ów jest przez autora przeznaczony, lecz Konradowi — Mickiewiczowi — Wyspiańskiemu, zawodowemu pisarzowi utworów scenicznych, który za kulisami rządzi się jak szara gęś i zna je oczywiście na wylot, fachowcowi, którego przed chwilą pytano, czy nie przyniósł z sobą jakiejś nowej sztuki — co to takiego jest tam-tam.

Szoku nerwowego doznaje słuchacz, słysząc, że z ust Hestji padają słowa zupełnie dla niej nie przeznaczone. Długa tyrada w ustach tej zjawy psuje całkowicie nastrój bardzo poetyckiej i głęboko wzruszającej sceny.

Godzę się całkowicie z Rembielińskim, że wyreżyserowanie w akcie pierwszym sceny z „Przodownikiem" było skandalem. Za najgrubszy jednak skandal uważam — charakteryzację masek w akcie drugim. Pan Schiller, inscenizator, wie, że Wyspiański powtórzył w tym akcie fragmenty rozmów ze swymi znajomymi. Wie również, że Wyspiański bywał w kawiarni. Wobec tego ze znajomych Wyspiańskiogo — masek— stworzył komiczną galerję typów kawiarnianych. Widzimy na scenie samych wycirusów, same postacie, które się widuje na salach bilardowych, albo przy stolikach z pokątnym totalizatorem. Niektóre figury przypominają złodziei kieszonkowych, inne zaś wywiadowców policyjnych. Ależ postacie, z któremi Wyspiański (bodaj w kawiarni) o Polsce rozmawiał — to nie były przecież męty społeczne, typy ze ze świata podziemnego. Towarzystwo Wyspiańskiego — to artyści, uczeni, politycy, biurokraci, przemysłowcy, ziemianie, jednym słowem — kwiat inteligencji. Z byle kim Konrad wogóleby nie dyskutował. Zwłaszcza o sprawach najświętszych, najważniejszych.

Maski — to może hołota, ale hołota moralna, nie zaś plugawi fizycznie obszarpańcy.

Nędza inteligencji galicyjskiej przed wojną nie przeszkadzała przedstawicielom tych sfer, w których obracał się Wyspiański, ubierać się przyzwoicie. Widywało się poplamione kołnierzyki i pomiętoszone a nawet dziurawe spodnie na genjuszach — ale rzadko. Napewno większość znajomych Wyspańskiego nie była brudasami, jak to usiłują nam wmówić inscenizatorzy widowiska w teatrze Polskim. Mniejsza zresztą o garderobę. Gorszą jest sprawą charakteryzacja twarzy. Na scenie pokazano nam przeważnie miny głupie i wcale nie harmonizujące z tekstem ról.

Patrząc na bardzo starannie opracowaną grę Osterwy, który posiada ustalony oddawna reputację idealnego odtwórcy roli Konrada — zadajemy sobie raz po raz pytanie, dlaczego ten myśliciel wdaje się w konwersację z typami o gębach idjotów.

Stosunkowo najlepiej poza Osterwą, który zasłużonej swojej reputacji nie sprzeniewierzył się ani odrobinę, wypadła rola pana Dominiaka, jako Hołysza. Zasłużył na wzmiankę wyróżniającą. Partner jego — Karmazyn — pan Chmielewski — przypominał raczej króla kurkowego z prowincjonalnego bractwa strzeleckiego — niż błękitno krwistego magnata.

Pani Leszczyńska-Pancewiczowa obnosiła po scenie z wdziękiem anachroniczny kostjum Muzy, wzorowany według modeli powojennych. Stosunkowo poprawnie wywiązali się ze swych ról p. Lubieńska (harfiarka), Justjan (prezes), Damięcki (kaznodzieja).

Panom Fabisiakowi (reżyser), Żeleńskiemu (przodownik) i pani Grabowskiej (Hestja) uniemożliwił dobre odegranie ról — inscenizator.

S. J. G.

POKŁOSIE

ODRAPANA BRYCZKA

KONSERWATYWNY „Czas" pisał niedawno żałośnie o tem, jak to dzisiejszy ziemianin, jadący odrapaną bryczką do miasta powiatowego, aby uprosić urząd skarbowy o odłożenie terminu, czy wstrzymanie egzekucji, nie może nikomu imponować. Uświadomienie sobie tego faktu kosztowało pewno niemało organ, mający w niedawnej jeszcze pamięci decydującą rolę, jaką odgrywało ziemiaństwo w b. Galicji, ale czy przypadkiem nie postawiono tu akcentu na nieodpowiedniem miejscu? Czy rzeczywiście temu zanikowi wpływów winna jest przedewszystkiem „odrapana bryczka"? Czy, gdyby ta sama warstwa jeździła dziś, jak dawniej, eleganckim powozem, zaprzągniętym w rasowe cuganty, to jej waga w społeczeństwie i wpływ byłyby większe? Można o tem wątpić, bo przecież owe odrapane bryczki, czyli kryzys, nastały niedawno, parę lat minęło zaledwie od czasu, gdy w powiatowych miasteczkach widywano owszem najnowsze samochody, a mimo to nie można powiedzieć, żeby *prestige* warstwy ziemiańskiej, zwanej na wielkiej przestrzeni kraju popularnie „obszarnikami", był bardzo duży. Przyczyną tego był istotnie kryzys, ale kryzys ideologji, licha, odrapana bryka ideowa, na jakiej ogromna większość warstwy ziemiańskiej, pod przewodem właśnie „Czasu", odbywała drogę polityczną w tej dzielnicy Polski, która miała największą ze wszystkich swobodę wypowiadania się.

Ziemiaństwo zrezygnowało tam oddawna z roli duchowego przewodnictwa społeczeństwu, wybrało drogę łatwiejszą: rządy w oparciu o administrację i przepisy prawa wyborczego, gdy zaś to prawo stało się z biegiem czasu mniej wygodne, zastępował je coraz silniej wpływ administracji, czyli wieszanie się u klamki starosty. Dało to możność utrzymania się przy władzy przez długie lata, ale stanowisko moralne malało nieustannie, i ostatecznie w odrodzonej Polsce zamiast ziemianina stanął obszarnik z opinją bardzo nieszczególną, która rozlała się i po innych dzielnicach.

Niepodobna przecież wszystkiego przypisywać tej nieszczęsnej zniżce cen płodów rolnych, trzeba nieraz obejrzeć się za siebie i zbadać drogę, która do dzisiejszej sytucji doprowadziła. Ujrzymy wtedy, jaki był stosunek do naturalnego, budzącego się ruchu mas ludowych, jakie były próby, czy usiłowania pokierowania tym ruchem, aby się rozwijał na dobro całego narodu. Otóż starsi bracia nie bardzo się do takiego kierownictwa kwapili, przeważyła raczej obawa o zagrożone pozycje i oddanie się pod opiekę opiekuńczego rządu. Przypomnijmy sobie historję ks. Stojałowskiego, jak go systematycznie zaszczuwano, nie cofając się przed użyciem wpływów kościelnych. Przypomnimy sobie początki ruchu ludowców i los ich przywódców, chociażby tego J. Stapińskiego z lat dawniejszych, wędrujących nieustannie z aresztu do aresztu, „szupasowanych" pod najbłahszemi pozorami z jednego końca kraju na drugi. A ukoronowaniem wszystkiego było zakończenie tego procesu historycznego: gdy się okazało, że jednak mimo wszystko presja administracyjna nie da rady, wtedy użyto pieniądza, demoralizując i przekupując przywódców. Ale i na to nawet nie poniesiono „ofiary", bo był to pieniądz austrjacki, uzyskany od rządu centralnego. Prawnicy i moraliści nie są zgodni co do tego, czy była to okoliczność łagodząca winę, czy też jeszcze bardziej obciążająca. Była w każdym razie okolicznością praktyczną, jednym z objawów polityki realnej. Bez rozwiązywania własnego mieszka zorganizowano w decydującym przedwojennym okresie blok przeciwko obozowi narodowemu w interesie Austrji, a przytem miano nadzieję upieczenia i własnej pieczeni. Nie wystarczyła ona, jak widzimy, na długo.

Taki jest rodowód tego zjawiska, że dziś ziemianin, jak stwierdza „Czas", nikomu nie imponuje. Odrapana bryczka nie ma tu nic do czynienia.

Nie warto byłoby może o tem pisać, gdyby to wszystko należało do przeszłości, ale przecież dziś widzimy zupełnie te same znakomite posunięcia. Tradycja trwa i wychowankowie „Czasu" wciąż tylko nadsłuchują i węszą, gdzie też może się objawić władza i siła, aby się u niej uwiesić. Widzieliśmy jak nagle stali się zwolennikami „ruchów niepodległościowych", jak znaleźli u siebie niewyczerpane złoża entuzjazmu dla rewolucji roku 1905. Zdarzy się przytem czasem jakiś zabawny przypadek, jak z owym artykułem w tymże „Czasie", surowo potępiającym demonstrację na placu Grzybowskim, inaugurującą wypadki r. 1905, ale to drobnostka; autora, nie orjentującego się w duchu czasu, chowa się coprędzej i dalej brzmią fanfary entuzjazmu i zachwytu. W odbywającym się obecnie procesie „naprawy" konstytucji ta szkoła trzymających nos do wiatru wzięła na siebie rolę wybitną, czynną i pomaga, jak może, do wynalezienia jaknajpomysłowszych przepisów, utrudniających lub uniemożliwiających swobodne wypowiedzenie się mas. Przyczynia się więc do wykonywania, tym razem na szersze, bo już obejmującej cały naród arenie, tego samego eksperymentu, który tak żałośnie zawiódł w mniejszej, partyjnej skali w dawnej Galicji.

Ziemianin inaczej traktujący swą rolę w społeczeństwie może jeździć nietylko lichą bryczką, ale nawet chodzić piechotą i mimo to będzie miał należyty wpływ i poważanie. Mamy tego nieraz dowody. Natomiast grupom, pozbawionym kośćca i oblicza moralnego, nie pomogą nawet „Rollce-Royce'y", jakiemi niektórzy przywódcy tych grup jeździć zwykli. W ubiegłym numerze „Myśli Narodowej" K. S. Frycz bardzo mądrze i pięknie napisał o ideale cywilizacyjnym dworu polskiego. Musimy sobie jednak zdać sprawę z tego, że ideał ten ulotnił się z dużej części środowiska te dwory jeszcze formalnie zamieszkującego, że warstwa wiernych przerzedziła się. Na szczęście jesteśmy już przygotowani do wypełnienia luk powstałych w szeregach i bez szkody odrzucić możemy tych, którzy nie mają czem w sensie niniejszych wywodów imponować.

ARGUS

NA MARGINESIE

W redakcji sanacyjnego dziennika:

— O jej, panie W. Rzymowski, przyszedł do pana Szary Człowiek w sprawie ordynacji wyborczej. Co mu pan powie?

— W każdym razie niech kij zostawi w garderobie.

*

— Bo rzeczywiście, panie Rzymowski — mówił dalej sekretarz — pan, doświadczony taki, pan, który nie z jednego pieca chleb jadł, pan żyjący tradycją Wielkiej Rewolucji Francuskiej, — że też pan dał się nabrać na Szarego Człowieka. Dłubałeś pan piórkiem w świętej ziemi, żeby na Szarego Człowieka stawiać kartę dziejów, a jak co do czego przyszło, to mu pan karty wyborczej odmawia. Nie można tak: „A to ty Szary Człowieku? Bo ja widzisz, chciałem ci dać w — tę", jak się nazywa...

— Cóż pan chcesz... Pan Jędrzejewicz darował mi nieśmiertelność, biorąc mnie do Akademji, czyż mogłem prosić go jeszcze o nieomylność?

*

P. Juljan Tuwim wyznaje na łamach „Kurjera Porannego", że, oczywiście, rozumie konieczność istnienia ładu prawnego i przymusu, ale, jako poeta, odnosi się w sposób niechętny do wszelkiej — zasadniczo — organizacji państwowej, do każdego wogóle Państwa, bez wyjątku...

Otóż to jest brzydko, nawet nieszlachetnie... P. Tuwim **powinien** odczuwać sympatję dla organizacji państwowej w Palestynie, powinien poczuwać się do jedności duchowej ze swymi współplemieńcami. O ileż wówczas dla nas, Europejczyków, stałby się i bliższy i zrozumialszy...

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM